



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 0.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Społ. kwartal. 5 marek.

TRENTOWSKI O KOBIETACH.

(3 rękopisu).

Nie umiemy wskazać nazwiska osoby, do której największy z filozofów polskich pisał list poniżej wydrukowany. W rękopisie, który ręk naszych doszedł, nie ma ani adresu, ani nawet daty. Można jednak z treści tego listu wyprowadzić pewne, dość ściśle wnioski o jednym i drugim. Przedewszystkiem nie ulega wątpliwości, że ta, przed którą filozof, stale za granicą mieszkający, usprawiedliwia się ze stawianych sobie zarzutów, mieszkała w Królestwie Polskiem, na wsi, była osobą wysoko wykształconą i z Trentowskim pozostawała na stopie zażyłej przyjaźni. Przybliżoną datę listu wskazują nam wzmianka o „młodzieży, poświęcającej się w Warszawie prawnictwu i naukom lekarskim.” Odnosi się to albo do słuchaczy Akademii medyko-chirurgicznej, która trwała od r. 1857—1862, albo—co pewniejsze—do studentów Szkoły Głównej, otwartej w r. 1862, zamkniętej w 1869. Rok ostatni jest również datą śmierci Trentowskiego. Wynika ztąd, że list pisany był w ostatnich latach życia znakomitego filozofa, w siódmym dziesiątku bieżącego wieku. Ścisłe oznaczenie roku byłoby rzeczą ciekawą i ważną ze względu na znamienne, gorzką satyrą zaprawione zakończenie listu, skierowane przeciw naszym wiejskim „panom i pansom.”

Poglądów wielkiego myśliciela na kobietę nie opatrujemy tymczasem żadnymi komentarzami. To jednak zauważyć musimy, że mimo pietyzmu, z jakim autor „Chowanny” wyraża się o kobie-

cie, dzisiejsze feministki żadną miarą apostołem swym nazwałby go nie mogły.

Oczegodna ziomko!

Nigdy mi nawet na myśl nie przyszło pisać przeciwko kobietom; byłbym sam ze sobą w sprzeczności, bo utrzymuję, że jak ręka prawa i lewa ciała naszemu, tak mężczyzna i kobieta towarzystwu są równie potrzebnymi; że obowiązkiem moralnym jest każdego prawdziwego mężczyzny cenić wysoko kobietę, widzieć w niej swego opiekuńczego anioła i bronić jego całą siłą; że większa lub mniejsza nasza cześć dla kobiet jest najwyborniejszym delikatności, wykształcenia naszego barometrem.

Kobieta to nasz port szczęścia i słodkiego wytchnienia po morskich burzach publicznego życia; ona wwiija maliny w cierniową koronę powinności naszych.

Bez kobiety zagasłoby życie i świat stałby się kamedulskim klasztorem; bez niej ten padół płaczu stałby się zaiste padołem rozpacz. Bo i któżby czoło nam ścierał i rany nasze polewał gojącym balsamem?

Jam pełen tak wielkiego uwielbienia dla kobiet, że całując niejedną z nich w rękę, zdaje mi się, że dotykam ustami nadziemskiej świętości istoty i kosztuję dawnych niebian nektarów.

Jestem także z małżonką moją szczęśliwy zupełnie i zaślubiając ją, dowiodłem oczywiście, że umiem uchylić czoło przed pięcią piękną.

I czemuż więc mniemają i głoszą, że kobiet wrogiem?..

Nieprzyjaciele filozofii wojują z mną podstępnie i podburzają przeciwko mnie równie kobiety jak i księży, sądząc, że to broń pewniejsza, niż biedna ich głowa. Jest to polemika „Dziennika Narodowego.”

Inni ludzą się powierzchownością; biorą me przeistoczenia zbyt seryo.

Złudzenie to leży wreszcie w naturze dzieł, które wydałem. Nie piszę ani poezyi, ani romansów, gdzie tylko najpiękniejsza strona kobiety malowaną bywa, gdzie uroczyste marzenia główną odgrywają rolę; piszę filozofię, która zdziera maskę z czarownic wszelkiego rodzaju i której ostatecznym wypadkiem poważna rzeczywistość.

Filozofia ma przedstawić w ostrych zarysach różnicę istoty kobiecej od istoty męskiej, bez względu na pojedyncze, choćby dość liczne wyjątki.

Różnica ta nie jest li zewnętrzna, ale i wewnętrzna; nie leży w samem ciele, ale także i w duszy. Usiłowałem ją uchwycić i dobitnie wyrazić—to wzięto mi za złe.

A cóżbym ja na to mógł odrzec? Oto, że przyzwyczajono się u nas zbyt do romansów, i filozoficznego tonu znosić jeszcze nie mogą.

Checianoby, żeby i filozof karmił świat piękną choćby częścią zupełnie uludą; tak być przecie nie może.

Ważąc na szali poznania istotę męską i istotę niewieścą, brałem obiedwie zwykle w równi wykształcenia lub talentu. I tak np. stawiałem Pindara obok Safony, Leibnica obok markizy de Châtelet, Kanta obok pani Staël, Napoleona obok królowej duńskiej Krystyny.

Za to na stronę męską waga się przechyliła, że się okazuje, iż mężczyzna wchodzi z człowieczeństwem i światem w styczność bezpośrednią, kobieta zaś li za pośrednictwem mężczyzny; że tamten jest olbrzymim duchem, ta zaś godną gorącej miłości Gracyą, Psychą.

Tego nie zaprzeczy żadna rozsądna kobieta.

Z tego jednak nie wynika, jak to ten i ów może zawniósł, iżby szala kobieca nie miała nawet i tutaj przeważać, skoro nie dzielność wyłącznie męska, nie twórczość jenuzu i potęgę charakterów, ale dzielność niewieścą, np. słó-

ność i czystość serca, piękne p. mieć będzie na oku. mężczyzną z kobietą w ogóle. a mężka gdzie mężkie, żeńska wysokie przeznaczenie będzie nam arną.

gożby kobieta, ten kwiat mężczyzny, mieć jako kwiat, pierwszeństwa? Lecz go, jako korzeń lub pień.

żywdzą mnie ci nadzwyczaj, co mniemają, każdemu mężczyźnie dają pierwszeństwo nad kobietą każdą. Prawda, że każdy mężczyzna ma pod względem twórczej umysłowości i filozoficzności ducha wyższe usposobienie, że żadna niewiasta nowej nie zaprowadziła wiary, nowego ducha czasów nie wywołała. Ale cóż z tego, skoro mężczyzna swych przyrodzonych usposobień nie rozwinął?

On pozostał, przy całej swej wyższości, w stanie natury dzikiej, nieuprawionej, i stoi jak zwierzę obok kobiety, co wyższe swe zdolności natury wykształciła do najwyższego stopnia.

Nie tem jesteśmy właściwie, czem urodziliśmy się, bo nawet geniusz nie będzie geniuszem skoro sam się zaniedbał, skrzydeł swych nie rozpiął i działać nie zaczął; jesteśmy tem jedynie, czem zrobiliśmy się sami, własną siłą i pracą.

Dzięki niebiosom za otrzymane wyższe talenty, lecz naszą zasługą i rzeczywistą wartością rozwinięcie tych talentów.

Kto usposobień swych nie rozwinął, stoi zwykłe niżej od najzwyczajniejszej, z natury zdrowym rozmysłem i dowcipem uposażonej kobiety.

Niewiasta rodzi się dyplomatą i ministrem. Jeżeli ma przytem wyższe wykształcenie, to lepiej bezwątpienia dzieci wychowa, majątkiem a nawet krajem rozrządzi, niż mężczyzna nieuk.

Rozum piastuje berło świata i odnosi wszędzie zwycięstwo; kobieta rozumna wpakuje nawet nierozumnego mężczyznę w swój czyściec, chociażby ten chlubił się dzień i noc godnością mężką i swym prymem naturalnym, choćby słowa „Chowanny“ włomaczył jak najrzędniej na swą korzyść.

Mężczyzna z zaniedbanem wykształceniem wyższem, co nigdy nie pracował sam nad sobą, pójdzie pod buławę mędrzej od siebie kobiety, bo to naturalna i słuszną.

Rozpisałem się nad tą rzeczą zadługo. Czyliż już to samo nie jest dowodem ile mi chodzi o względy kobiet?

W Poznaniu mówiłem z niektórymi osobami, co przybyły świeżo z Królestwa. Zapewniano mnie, że oprócz młodzieży, poświęcającej się w Warszawie prawnictwu i naukom lekarskim, która ma łaknąć światła i wiele rokować na przyszłość, nowe pokolenie mężkie zaniedbuje swego ducha bez sumienia i miłosierdzia nad sobą samym.

Szczególniej na paniczów wiejskich powstawano.

Jest w Niemczech komedia pod tytułem *Polnischer Landjunker*, w której szydzą z niejakiego panicza wiejskiego, robiąc go despotycznym, płochym a zarozumiałym bez granic nieukiem. Komedię tę napisał jeden z Niemców berlińskich, nienawidzących naszego narodu.

Otóż zaręczano mi, że obrazowi w komedii ma dziś co do joty odpowiadać rzeczywistość, i że komedia ta była teraźniejszego czasu naszego mimowolnym prorocstwem.

Przysięgano mi, że szlachecka młodzież polska, jedyna najpewniejsza kraju nadzieja, zwłaszcza po wsiach rozsypana, nie ma ani wykształcenia naukowego, ani nawet należytej ogłady zewnętrznej, że grubiaństwo, uchybianie starszym lub rozsądniejszym, stało się u niej modą, że celowanie w półsurowem gburstwie ma być w jej oczach, jak studentów niemieckich, chluba itd.

O ukochana Pani! racz mi donieść czyli tak się ma rzecz istotnie?

Lecz nie, nie donoś mi tego, jeżeli tak jest, bo to zakrwawiliby nasze serca.

Czyliż to takie nowiny otrzymywać mamy o braci naszej młodszej!—maż być po wszystkie czasy pan i panek polski urodzonym próżnia-

kiem, co żyje li na to, aby jadł i pił z cudzej pracy, zwierza po lasach i chłopstwo po polach rozbijał?

Nie poprawiam że się nigdy? Więc być może, iż braci naszych kiedyś nie poznamy, i że na ich widok ze wstydem odwrócimy oczy nasze!

My tu ich bronimy przed cudzoziemcami, ci zaś uglądają wcale co innego.

Dziś szczególnie potrzeba nam głów dobrych, a nie ta głowa dobra, co na wieki wieków klimec nieuctwa zabita. Dziś powinni panice nasi dzień i noc pracować, uczyć się, aby zrównali oświatę zachodniej Europie; powinni kształcić swego ducha, pracować umysłowo za swych dziadów i ojców.

Wszakże mają czas i majątek po temu.

Inaczej, biada nam, biada na zawsze.

Racz Pani, jako Polka i znaczna obywatelka, odezwać się do zaniedbanych moralnie i naukowo młodzieńców w podobnym rodzaju, a nadobna twa kuzynka niech żadnego z nich nie zaszczyli milem spojrzeniem, niech rękę swą odda tylko takiemu, który się poprawił i został dobrym dla drugich przykładem.

Jeżeli to prawda, co mi mówiono, to radziłbym, ażeby Polki, naśladować swe matki, co posyłały tehorzom wrzeciono i skórki zajęczę, uraczyły teraz zaniedbanych paniczów, ofiarując im—ośle uszy.

Bronisław Trentowski.

PRZY KOMINKU.

(POGAWĘDKA).

Posypaliśmy tedy głowy popiołem i do rozmyślań zabraliśmy się...

Proch jesteś, marny proch!... Najpiękniejsze sny twoje, dusza, czarodziejskie gmachy, o których marzyłeś niegdyś lub jeszcze marzysz,—rosypały się lub się rozsypią w pył i ty—pył, powiększysz tylko pyły ziemi... Niczem jest piękno, niczem jest dobro, niczem jest prawda...

Bluznierstwo!

Pessimizm jest rzeczą ludzką, ludzie czasami na czarną melancholię chorują... Świat jest piękny i dobry i kraina prawdy gdzieś jest.

Musiałem zdrzemnąć się przed kominkiem, wpatrzony we wszystko pożerający ogień, musiały mi utknąć w pamięci rozsypujące się pyły przepalanych węgli i miałem sen, w którym się potwory wysniły i niszczyły każdy kwiat piękny, każde drgnięcie życia nowego, pozostawiając po sobie ogromny stos gruzów, pustynię, z osypaną prochami, bielejącą szkieletami mar i wiar.

Wstrząsnęłam się —

Zimno!...

Ale to tylko dreszcz chorobliwy przeszedł po mnie, bo dzień był dość ciepły i dość słoneczny, a wieczór jest pogodny i cichy, księżyc melancholijny blask rzuca na ulice miasta, oświetla dachy kamienic i ślizga się po blachach cynowych.

Glob umarły!...

I on rozsypie się w pył—jak wszystko!

Brrr!.. zanadto popielcowy coś jestem.

Wyjrzałam przez okno...

Prześliczna noc!

Cóż mnie po twarzy musnęło —

To biała gałązka bzu rosnącego w wazonie.

Wiotki, delikatny kwiat o wonnym zapachu!... Wpatrzyłam się — i on trochę nawiął mi marzeń, dawnych, dawnych —

Dobre lata, te młode lata, piękne lata, te lata młode!... Kto zaprzeczy tej prawdzie?...

Znalazłam dobro, piękno i prawdę...

W młodości?...

Jakaś twarz z kąta uśmiecha się ironicznie i szepce:

— Młodość—to piękna omyłka!...

Być może, ale dobrze na mnie wspomnienia oddziaływały, potwory zniknęły, księżyc cieplejszy blask rzucał, na białej gałązce bzu rosnącego w wazonie nie dostrzegłem najbliższego śladu pyłu. Kochana dłoń kwiat ten pielęgnowała, bom ją go lubił... Dobrzy ludzie, piękny świat, prawda nie stoi za progiem, jak wygnana żebraczka.

Zapaliłam lampę stojącą na biurku mojem, na którym leżało parę listów i gazet paczka.

Do czego się wziąć: do gazet, czy do listów?...

Spojrzałam na adres pierwszy z brzegu.

— A wiem, to zaproszenie na jutrzejsze posiedzenie konkursu dramatycznego.

Spojrzałam na drugi —

— Przypomnienie o raucie niedzielnym. —

Adres trzeci nieznajomą ręką był pisany.

Pozostał mi więc do przejrzenia ten list—i gazetę.

Rozwinąłem dziennik...

Na kominie ogień przygasł, żarzyły się tylko węgle i migały blade-błękitne płomyki.

Postawiłem lampę bliżej, przysunąłem fotel i wziąłem się do czytania:

Ameryka i Filipiny.

„Dzienniki zagraniczne przynoszą nam echa uchwały senatu Stanów Zjednoczonych, zatwierdzającej traktat pokoju z Hiszpanią i dalsze na ten temat uwagi:

„Kwestya potwierdzenia traktatu miała w senacie widoki dość wątpliwe, ale wybuch działań wojennych pod Manillą oddziałał na wahających się senatorów tak, że ostatecznie przechylił szalę na stronę polityki rządu.

„Rozprawy były namiętne i stały się punktem kulminacyjnym walki między zasadniczymi obrońcami idei i tradycji Stanów amerykańskich a zwolennikami zaborczego rozrostu. Pierwsi powoływali się na Waszyngtona i Lincolna, na konstytucję, która nie uznaje zaborów, a zna tylko dobrowolne przyłączenie się do Unii nowego Stanu wraz z nową gwiazdą na fladze amerykańskiej, na konstytucję, która wprost nie przewiduje stosunków między wolną federacją demokratyczną a krajem zdobytym i podbitą rasą; drudzy, drwiąc z „pedantycznego“ legalizmu, rzucali zapalające hasła zwycięstwa oręża i cywilizacji amerykańskiej, apelując do patriotyzmu, który nie powinien obracać wniwecz „bohaterskiego czynu“ Deveya.

„Położenie imperyalistów jest korzystniejsze, gdyż popiera ich wielki kapitał, liczący na eksploatację nowych kolonij, a wymowa ich trafia łatwiej do tłumów, uniesionych szowinistyczną frazeologią. Zatwierdzenie traktatu było więc rzeczą niewątpliwą; gdyby bowiem obecnie w senacie nie skupiono większości rządowej, przygotowany już był projekt przekazania aprobaty nowemu senatowi, który zbierze się d. 4 Marca, a w którego skład wejdzie trzydziestu nowowybranych senatorów. Asekuracja ta okazała się jednak zbyt czarna.

„Aneksya Filipin uzyskała więc sankcję prawną. Znikła tylko dekoracja, wśród której Stany wypowiedziały wojnę Hiszpanii; hasła humanitaryzmu, walki za swobodę uciemiężonych, ustąpiły miejsca cynizmowi siły. Zamiast Lafayette'a, zawiązał do brzegów dawnych hiszpańskich posiadłości nowożytny Wilhelm Zdobywca.

„Dziwnie brzmią obecnie szumne proklamacye amerykańskie, wydawane przed niewiele miesiącami. Gdy admirał Devey wyładował pod Cavite, przybito na murach następującą odezwę: „Naród amerykański nie chce z nikim wojny; jest on poprostu bojownikiem za swobodę ludów, uciemiężonych przez niegodny rząd Hiszpanii.

„Niedosć na tem. D. 25 Kwietnia zeszłego roku, generalny konsul amerykański w Singapurze zawarł z upoważnienia rządu w Waszyngtonie formalny układ z prezydentem Aquinaldem, stypulujący w 13 punktach niepodległość Filipin w zamian za poparcie, udzielone przez powstańców. Punkt pierwszy brzmiał *ad pedem litterae*:

„Niezawisłość Filipin będzie proklamowaną!

„Tekst tej umowy ogłosił w Styczniu bieżącego roku „Temps.“

„Epilogiem prawnym jest uchwała senatu w Waszyngtonie; epilogiem faktycznym 4000 trupów tagalskich pod Manilą...”

Dziennik wypadł mi z ręki — a na kominie ogień przygasł i białe pyły popiołu rozsypały się dokoła...

Lafayette, Waszyngton i jeszcze ktoś przy nim, Franklin, Lincoln... przesunęli się w myśli mojej, jak jakieś cienie olbrzymie, jak senne mary tej ziemi, która wrzeczywistości ich nigdy nie miała.

A przecie Waszyngton był, Lafayette był...

... Wiatr dmuchnął w komin i rozsypał pył białych popiołów.

Myśli płatały się dalej...

... Ameryka urbi et orbi ogłosiła walkę za wolność uciemiężonych przez Hiszpanię ludów i — zaparła się hasła swoich przed światem całym. Tagalowie bronili swych praw i — czterech tysięcy trupów padło od kul armatnich...

O ironio! — co za piekielny twój uśmiech!... o wieku dziewiętnastym, dla czego do reszty zaczerniasz ostatnią kartę swoją?...

Proch — piękno, proch — dobro proch — prawda! Straszliwa pieśń!...

Na dworze zerwał się wiatr i coraz więcej pyłów rozrzucał.

Rzuciłem dziennik — nie czytałem już dalej sprawozdań politycznych, nawet śmierć niespodziewana Faura nie uczyniła wrażenia na mnie, ani bliski wybór nowego prezydenta, który się odbędzie pod hasłem Dreyfussa. Wszędzie brudy i brudy, wszędzie małość i małość!...

A przecie od dzieciństwa mówią nam o wielkich ludziach, wielkich czynach; wyrastamy wśród marzeń o wielkościach, szukamy ich w życiu — a tymczasem dzień po dniu, godzina po godzinie odzierają z ułud i barw...

Gdzie ci ludzie, te czyny?...

Zajrzyj do historii!...

Ba! wolałbym w życiu spojrzeć —

Może na zasadzie perspektywy, w oddaleniu pewnym powiększają się krajobrazy i — nawet karły w wielkoludów zmieniają się. Wiemyczem jest złudzenie optyczne, byłaby niem... historia? — działołby się coś podobnego z jej wielkościami?

Czuję, że mam gorączkę, a smutek na sercu się kładzie, i tak wygodnie, szeroko się rozpociera, jakby nieprędko miał zamiar łożyć swoje opuszczenie —

... Dzwonek —

— Proszę!

Otworzyłem drzwi —

— Dzień dobry Jasiu!

— Dzień dobry. A co tak wyglądasz, jakby cię jakie nieszczęście spotkało?

— Siadaj — opowiem ci.

Po chwili mój przyjaciel wiedział o wszystkim.

— Smuci mnie bardzo — rzekł, że nie do pocieszenia ciebie nie mam!

??

POSTACIE NIEWIEŚCIE w poezjach L. Kondratowicza.

Studium psychologiczno-etyczne

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg)

Ślub z Szymonem naznaczony był na przyszłą wiosnę. Dziewczyna „marzyła o nim, liczyła tygodnie...” Nieraz zadawała rozmarzonemu sercu swemu pytanie: czy nie chłodnie w niem miłość? „Lecz serce zawsze mówiło radośnie, że silniej bije, że uczuciem rośnie.” Jego zaś miłości była

pewna zupełnie. Lecz oboje byli biedni — Szymon nie miał grosza nawet na zapowiedzie i wesele. Przysłał więc na flisado wicyny — i miał odjechać ją na całe półrocze. Och! pamięta ona ten ciężki wieczór rozstania: nadchodziła burza i czarne chmury ścieiliły się nad lasem; oni — oparci na mostu poręczy, milcząc słuchali szumu rzeki, a wzrokiem blądzieli po ciemnym niebie, — jak gdyby jedną myślą ożywieni... On był smutny „jak jodła na grobie,” a ona nieszczęsna nie wierzyła sobie, jak potrafi przeżyć to półrocze... Jakies straszne przecucie, trwoga jakaś opanowała jej duszę i „serce naciskała tęsknotą.” Tyle głębin tam na Niemnie — myślała sobie dziewczyna — i tyle wioseki miast tyle, a w nich dziewczęta piękniejsze od niej... Poczęła więc mówić pacierz do aniołów-stróżów, aby go strzegli od fali, od burzy, a jego serce od jakiejś ponęty... Szymon uspokajał ją, mówił że powróci zdrow i wesół, lecz że się lęka, czy jej serce pozostanie mu wierne przez to półrocze? czy wytrwa tę długą próbę?... Więc ona ukłękła przed nim i złożywszy ręce, mówiła:

„Niechaj sam Pan Bóg pokarze mnie biedną.

Gdy przez półrocze chociażby myśl jedną

Komu innemu, niż tobie, poświęcę!...”

Tu nawet żadnej z jej strony zasługi nie będzie — mówi dalej — bo nikt drugi nie przypadnie jej tak do duszy, jak on jedyny... i gdyby nawet jej serce chciało mu się sprzeniewierzyć, to nikogoby nie znalazła w świecie, ktoby tak ją odgadł i tak wyrozumiał jej dumki, jak on. Uwierzył jej słowom, uścisnął, zapłakał tylko — i odjechał...

Nastaly dla dziewczyny dni rozłąki — z początku niezmiernie ciężkie i smutne. Noce jeszcze schodziły jej na słodkich marzeniach o ukochanym: widziała go przy sobie i była szczęśliwą... „ale poranek — to skończenie świata...” Najpierwszą myślą, jaką dzień przebudzonej przynosi, jest myśl o tem, że „już go nie ma!” Przed nią wstaje długi dzień posępny i samotny — czem go zapłacić? jak przeżyć?... Gdy on tu był — spotykali się tak często!... po kilka razy dziennie: to w kościele, to na cmentarzu, albo u sąsiada... a wieczorem — on ją już czekał tam — na kamieniu nad rzeką — i ona wiedziała, że go tam zastanie napewno. A teraz — gdy nadejdzie wieczór — masz — że iść samotna po nad rzekę?... Nie pójdzie tedy — „bo jeszcze przyjdzie szal niespodziewany, zeskoczę z mostu i w rzece utonę...” a jeśli siądzie na ów kamień znany, to sama gofowa na nim skamienieć... Czy iść na pole? „O nie!... tam przy gruszy wiliśmy kiedyś wianki z polnych ziółek!...” Widok miejsca przypomni jej żywo minione szczęście i zrani ją zarazem boleśnie... i w pole więc nie pójdzie. Stroniła od przyjaciół, wiedziała bowiem, że one powitają ją słowami: „już go nie ma!” Ani więc pójść dokąd, ani zwierzyć się komu nie ma biedna dziewczyna... chyba matce — lecz matka „nazbyt stara, gdzież jej zrozumieć boleść kochania?” Okropne były dla dziewczyny pierwsze dni rozłąki — pełne bólu i męczarni. Lecz oto „przeszło dni kilka, nawykłam z niedolą...” chciało się płakać — lecz chciało się współłki... „Serce dziewczyny niedosć jest głębokie, aby mogło zamknąć się samo w sobie i żyć choćby najdłużej wspomnieniami minionego szczęścia; uczucie nie było w niem dość silne, aby wypełnić je i starczyć mu za świat cały. Nie znajdując treści, któraby wypełniła życie wewnątrz siebie, dziewczyna szuka ją nazewnątrz — w otoczeniu.

Nie dziwi więc nas dalsze wyznanie dziewczyny, która mówi: „Wezwałam k'sobie wierne przyjaciółki, te naśmieszyły, że aż boki bolą.” Otrząsnawszy się w ten sposób z przygniatającego smutku, wzięła się nazajutrz dziewczyna do pracy: „Nazajutrz ciężka zajęła mnie praca, smutek zlagodniał — i już nie powraca.” Wypływało naturalnie z rodzaju miłości dziewczyny i z jej usposobienia: nie sięgając do głębin serca i nie zapuściwszy w nie korzenia, uczucie to w niej żyło dotąd impulsami, przychodzącymi z nazewnątrz: widokiem miejsc upamiętnionych obe-

čnością jej kochanka, przypomnieniem jego wyrazów, przywoływaniem jego postaci przed oczy pamięci. Żyjąc życiem oderwanem od realnej rzeczywistości codziennej, życiem kontemplacyjnym, mogła dziewczyna temi w pół-sztucznymi środkami podsycać w sercu niewygasłe ku kochankowi uczucie; gdy się zaś dotknęła rzeczywistego życia, jego trosk i zatrudnień, nie mających żadnego związku z Szymonem, obraz jego bladł coraz przed nią — nieoświeclany tak często, jak przedtem błyskami wspomnień — aż w końcu zupełnie niemal rozplynał się i zniknął. Przypominała to sama dziewczyna, mówiąc, że z początku nieraz śniła Szymona jak żywego, „bo czuła, że go kocha...” Potem „już myślisto śniłam twarz Szymona;” jeszcze upłynęło nieco czasu — a już „w snach moich i twarz i postawa już jakby obłok niewyraźnie stawa.” A jednak — dodaje dziewczyna: „ogniem jednych uczuć pałam, a jednak szczerze Szymona kochałam...” Czy nie oszukiwała już wówczas siebie dziewczyna? Bez wątpliwości, gdyby jej ukochany powrócił był wówczas, jego obecność i widok rozgrzałyby zagasające uczucie, dziewczyna czułaby się szczęśliwą i pewną, że go kocha, jak dawniej. Ale Szymon nie powracał. Słuchajmyż dalej wyznań dziewczyny: „nim w połowie ubiegłego półrocza, rozrywał smutek czułam się w potrzebie.” Mglisto i w półsenne przypomnienie Szymona nie mogło naturalnie zapełnić jej serca; coraz więc częściej i chętniej zaczęła szukać towarzystwa przyjaciółek, których „zabawy ochocze coraz mię częściej nęciły do siebie.” Po takich jednak zabawach, gdy śmiech i żarty przyjaciółek milknęły w jej uszach, powstawał zwolna w głębi duszy jakiś niemy wyrzut, nieokreślony i niejasny, który jednak ją dręczył i bolał. Wstawały jakieś „gorzkie przecucia.”

Jedyną radę przeciw temu widziała dziewczyna w odganianiu tych przykrych myśli, chciała „uciec od myśli, nie być sama z sobą.” W takie więc ciche i smętne chwile wspomnień, gdy dawne marzenia i myśli cisnęły się jej do duszy, ona uciekała od nich — w gwar, w hałas, w zapomnienie... „ja biegłam śmiać się do rówieńnic rzeszy; ten memu sercu spodobał się więcej, kto najweselszy, najprędzej rozśmieszy...” Jakaś dziwna, nieznana dotąd ironia kazała jej śmiać się ze świata — i w końcu przyznaje się sama, że „płochy uniesiona śmiałam się nawet z naszej miłości, z siebie i z Szymona.”

Był to jednak jakiś śmiech nieszczerzy i zły — czuła to sama; był to śmiech, który miał gorzkie źródło we łzach nocy bezsennych, nocy pełnych wyrzutów i bólu. Niedawno jeszcze pragnęła przybycia Szymona; teraz — bała się już jego powrotu: przeczuwała ten ból straszny, jaki go przejmie na widok niespodzianej w niej odmiany. Chciałaby go widzieć, sama jednak nie będąc przez niego widzianą...

Gdzież lepiej można zagłuszyć wyrzuty, niż w kole rówieńnic? Z każdej więc chwili wolnej korzysta, aby ją spędzić na śmiechach, żartach i zabawie z towarzyszkami. Nieraz jaki parobczak, wracając z roboty, zjawi się do grona — wówczas jeszcze więcej się ożywiła, jeszcze była skorszą do pustoty i śmiechów. Znalazła nawet usprawiedliwienie swego postępowania w tej myśli, że przecież „durzyć chłopców — ot tak sobie, bez celu — to niewielka zbrodnia...” Przecież ona kocha jednego, a z resztą się bawi... „Wszak to miłości zaszkodzić nie może?” mówiła sobie, by stłumić wyrzuty — wszak Szymon w końcu powróci, a wtedy „już wieczny rozbrat ze światem uczynim.” A ci biedni chłopcy wnet zagasną przy nim, jak „małe gwiazdki przy pogodnym słońcu.”

Począyna w końcu igrać z ogniem. Znadto jest lekkomyślna i płocha, aby w zaletach widzieć mogła co innego ponad środek ku chwilewemu rozweseleniu się i przytłumieniu wewnętrznej rozterki i wyrzutów. Myśl o odpowiedzialności moralnej za zakłócenie czyjegokolwiek lub zwichnięcie szczęścia czyjegokolwiek, nie ma dostępu do płochego jej serca; i oto widzimy ją „ośmielającą” syna gajowego w jego względem niej zalotach; chęć osobistej pustoty umie-

nawet upozorować przed sobą celem jakoby ogólnej korzyści: chłopak jest bogaty i na jej prośbę zamawia w każdą niedzielę skrzypce, przy których weseli się i bawi całe sioło, a towarzyski umieją być jej wdzięczne za to.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kazimierz Głiński.

KRZYWDA

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

VIII.

Arcydzieło.

Nazajutrz, około godziny dziewiątej wieczorem, pan Hipolit chodził wzdłuż jadalnego pokoju a Czubiński stał w progu, czekając na ostatnie słowo pańskie. Rozporządzenia gospodarskie już były wydane, Czubiński jednak nie ruszał się, czekając na ostatni argument, któryby go zwolnił od służby. Tym argumentem były słowa pana Hipolita: „No—dobranoc ci, mój Czubiński” poprzedzone wspólnym wypiciem kieliszka wódki. Następowoło to jednak zaraz po wydaniu rozporządzeń—teraz pan Hipolit zwlekał z ostatnim słowem. Zamyślony chodził wzdłuż pokoju, coraz silniej wasy na dół pociągał i marszczył czoło.

Czubiński chrząknął—pan Hipolit nie przerywał spaceru.

— I kiedy ten Sochacki przyjedzie?—odezwał się półgłosem, jakby odpowiadając swym myślom.

— Pierszego Listopada, tak jak była rozmowa, proszę pana.

Pan Hipolit pomyślał chwilę.

— Listopad nie za górami—Sochackiemu trzeba mieszkanie wyporządzić.

— Był ja dziś w Piaskach, proszę pana—izby już wybielone a szklarz okna wstawia.

— Wstawia? aha—tak!... To dobrze, ale uważasz, mój Czubiński, ja chcę pierwsze rozporządzenie zmienić i Sochackiego nie w Piaskach, ale w Górkach osadzić. Górki—to obszar i różne gałęzie gospodarstwa są w nich więcej rozwinięte—potrzebują baczniejszego oka i lepszego znawstwa. Zapewne, że ja z tobą podołalibyśmy trudom, ale chciałbym już choć trochę odpocząć i mieć odrobinę więcej czasu—dla siebie.

— To prawda... co panu należy się spoczynek,—rzekł karbowy. — Ale, z przeproszeniem łaskawego pana, Sawran, to nijaki okonom, bez pilnowania nie można go ostawić.

— Myślałem i o tem. mój Czubiński, ale mi potrzebniejszy jest Sochacki tutaj, niż tam. Tołpiskiewicz naraił mi Groblewskiego, który trzy lata był u Ziemana w Zwoleniu, aż mu żyd obrzydł.

— To akuratny gospodarz, — zauważył Czubiński.

— A zatem rzecz skończona, — odezwał się pan Hipolit. — Ja, Sochacki i ty—w Górkach, a w Piaskach—ja, Groblewski i Sawran. Będzie nas sześciu—to dosyć!

Czubiński śmiać się zaczął.

— To pan rozdzielił się na dwie połowy—dobry interes!

— Ot, widzisz, że dobry! Rozdzieliwszy się, tak, będę miał więcej nieco czasu dla siebie.

Czubiński chrząknął, jakby miał coś powiedzieć, ale pan Hipolit ciągnął dalej.

— Proszę cię, mój Czubiński, zajmij się tem, ażeby dla Sochackiego było wczas mieszkanie przygotowane. Cztery pokoje na folwarku, za-

jete teraz na skład różnych rupieci, każ wypożądzić i oczyścić, podłogi opatrzyć i pomalować olejno, drzwi i okna przystosować, bo to zima nadchodzi—a ściany wybielić. Słowem, wszystko zrobić tak, ażeby nic wewnątrz ani zewnątrz mieszkania nie brakowało. Proszę cię, Czubiński, dopilnuj!

To mówiąc, położył dłoń na jego ramieniu.

— Niech pan będzie spokojny,—odpowiedział Czubiński—tylo...

— No—co?

— U Sochackiego sztyry a u pana trzy pokoje—

— Ale Sochacki ma żonę i dzieci, a ja sam, jak palec,—smutnie uśmiechnął się Grudowski.

Spojrzał na ściany niskie i sufit wygięty—

— Może potrzeba będzie nowego domu, ale to koszt duży—wyszeptał.

— Za tysiąc rublów można mieć podwały, słupy, ściany i wszystko postawić, tylo otynkowanie, kominy, piece, no i szkło taj żelazo do osobnego rachunku pójdzie—

— Jakto?—spytał Grudowski.

— Ziemian wymajstrował dom: sześć pokoi na dole a dwa na górze; wszystko akuratnie obrobione, dąb i sośnina—a suche, co tylko zapalki przyłożyć. Teraz go chce sprzedać za tysiąc i dwieście, ale ustąpi, potargować się tylko. Ja mówił jemu, co może pan kupi.

— Widziałem szkieleł tego domu, doskonała robota,—rzekł pan Hipolit,—ale dać więcej, jak siedemset rubli nie mogę.

— Ziemian majontek w posesyie puszcza, sam gospodarować nie chce, bo chłopcy jemu od żydów wymyslają. Niech łaskawy pan potarguje taj kupi. Rozbiórka i przewózka nie wiele będzie kosztować. Okna i drzwi so nawet, a robota akuratna, że moje uszanowanie!...

Pan Hipolit pomyślał przez chwilę—

— Dziękuję ci, mój Czubiński—może domu potrzeba mi będzie.

A po chwili dodał:

— Pogadaj tam z Ziemaniem. Jeżeli za 700 rubli odda... może skończymy.

Podszedł do szafy i wyjął butelkę.

— Oby dobrze nam było!

— I zawsze razem!—dokończył Czubiński.

Wypił, otarł usta rękawem, pocałował pana Hipolita w rękę i wyszedł.

Pomiędzy dziesiątą a jedenastą Grudowski zwykle udawał się na spoczynek,—lecz teraz napróżno kukulka nawoływała, minęła dziesiąta, jedenasta, o w pół do dwunastej znów: „Ku-ku” odezwało się a pan Hipolit chodził po jadalni, raz wraz tylko zapalając gasnącą lukę i błękitne kłęby dymu pod sufit puszczać. Przez okna patrzył księżyc, srebrnym blaskiem oblewał kłaby i dachy zabudowań gospodarskich. Dziedzic Górek i Piasków był zatopiony w myślach swoich i miarowym krokiem okrążał wciąż pokój, w kółko i w kółko. Sawka od dawna przyniósł wieczere.

— Panie,—odezwał się.

Ale pan Hipolit nie słyszał.

— Panie,—znowu powtórzył, lecz widząc, że pan nie zwraca na to uwagi, wyniósł się cicho.

Kukulka kukała—pan Hipolit wciąż chodził; później zapalił świecę i przeszedł do bawialnego pokoju.

Słabe światło źle oświecało ściany—płomyk chwiał się i lekko drgającą falą odbijał się w szbach okien. Pan Hipolit zatrzymał się na środku, spojrzał na ściany, sufit, kierując wzrok powoli we wszystkie cztery kąty tak zwanego salonu.

Rzadko tu zachodził, chyba wtedy, gdy niespodziany gość jaki zawitał, co było nie codziennym wypadkiem. Mijały miesiące a on nie zajął do tego pokoju, który się niczem prawie nie różnił od innych. Ściany bielone tak samo, jak wszędzie, umeblowanie skromne, jak w ekonomicznym domu, podłoga sosnowa, malowana olejno w ciemniejsze kraty a sufit niski i czteroszybowe, podłużne nieco okna, z wąskimi drzwiami, wychodzącymi na balkon—świadczyły wyraźnie, że nie było przeznaczeniem tego salonu więzić w swych ścianach bogatego potomka Grudowskich.

I rzeczywiście!

Dawni dziedzice przebywali w Grudowie, albo Dziadyszkach, lecz dziadyszkowski dwór się spalił, a pałac Grudowski przypadł w udziale młodszemu synowi pana Janusza. W innych folwarkach były tylko domy ekonomiczne, do takich należała i dzisiejsza siedziba pana Hipolita. Wprawdzie pan Hipolit chciał, gdy bracia podzieliли się fortuną, część sprzętów pałacowych do Górek przewieść—ale uwaga pani Karoliny, że śmiesznie wyglądałyby rzeźbione meble, jedwabiem lub aksamitem kryte przy ścianach bielonych i malowanej podłodze—wpłynęła na postanowienie Hipolita, który salonów Grudowskiego pałacu nie chciał ogołacać z jemu tylko właściwych ozdób. Za to ustępstwo jednak dwa tylko sobie przedmioty wymógł, a były niemi portrety ojca i pradziada—ten ostatni trzymał buzdycan w ręku.

Na nie teraz skierował się wzrok prawnika.

— Co tu kurzu!—szepnął do siebie, dotykając ram dębowych.

Powiół okiem do koła.

W kątach ścian snuły się nici pajęczce, malutki ich mieszkaniac spuścił się na jednej i kołysał się w powietrzu.

— Jak tu pusto!—szepnął znów pan Hipolit.

Mówiąc to opuścił rękę, która z bezwładnością opadła na wierzch stojącego pod obrazem fortepianu.

Dłoń stuknęła a struny zabrzmiały dziwnie i wydały jęk smutny.

Pan Hipolit wsłuchał się—dźwięki przebrzmiały.

— Ba! gdyby palcom moim były posłuszne klawisze,—myślał,—niejedna chwila samotności tak ciężką by mi nie była. Gdyby ktokolwiek zagrał tu kiedy—pokochał bym go.

Oparty o fortepian stał długo, pogrążając się w zadumę. Kołysało go marzenie, w którym utonął duszą całą. I zdało mu się, że wśród ogromnej tej ciszy, która go otaczała, odezwał się dźwięk jeden i drugi i związał się w akord pełny. I oto słyszy muzykę płynącą z ogromnego oddalenia, cichą, senną, jakby z marzeń i westchnień splecioną. Brzmi pieśń niezrównanej piękności, czasami siły olbrzymiej, rozdzielającą jakąś skargą bezdenną. Dźwięki rozbiegają się i znów się łączą, aż zaczęły cichnąć i konać, rozsypywać się, jak perły, gdy nie pęknie. Napróżno wysiłkiem duszy całej chciał umykające zatrzymać—rozbiegły się i umikły... bez echa.

Grudowski przebudził się.

— Ha!—szepnął,—gdybym je umiał przełożyć w formę stałą—stworzyłbym arcydzieło. Pamiętam dźwięk każdy, każdy akord, początek i koniec i część środkową tej przedziwnej melodyi! Tak! tak—pamiętam doskonale!

— Lecz co to? niech mi kto wytłomaczy,—pytał siebie.—Do muzyki nigdy nie miałem zdolności, żadnej melodyi nie umiałem zapamiętać, cóż dopiero stworzyć!... Tymczasem... pamiętam doskonale każdą nutę arcydzieła—pamiętam!—szepnął odchodząc od fortepianu.

— Kuku-kuku!—odezwała się kukulka.

— Północ! lecz mi się oczy do snu nie kleją.

Zaczął przechadzać się po salonie, odgłos jego kroków odbijał się o puste ściany komnaty. Nie mogąc spać, myśleć musiał.

Hajczyńce... bal... panna Matylda przesunęły mu się przed oczyma.

Ona czy nie ona, mniejsza o to, ale czas już pomyśleć o duszy jakiejś, do której duszą własną przylgnąć by można. Już mu nie dzisiaj na przeszkodzie nie staje szerzej się rozejrzeć po świecie, zerwać z tą szkaradną samotnością i tem życiem bezcelowem.

— Ty żyć umiałeś,—szepnął, patrząc na portret pradziada. — Ba! za życie twoje, jabym sto swoich żywotów oddał.

Jak fale przepływały myśli, coraz innemi barwami się mieniać. Biegły z jakichś światów zamierzchłych, pełne szelestów i blasków i huków piorunowych, to ciemniały nagle, jakby nad niemi obłok czarny przesunął się i kirem je okrył. Później posłyszał szum w głowie i zbudził się z marzeń.

— Jestem niewyspany, bał w Hajczyńcach wykoileł mnie trochę. Krew mi uderzyła do głowy i dla tego Bóg wie jakie mary się snują. — Ale ta muzyka nie zrozumiała jest dla mnie, — powracał do myśli uprzedniej. Wiem, że są halucynacje słuchowe, prawie zawsze słyszy się uderzenie dzwonów — Ale tu — nie!... Wygrałbym, wyśpiewał gdybym grał i śpiewać umiał. To coś innego jest niż zwykle złudzenie słuchu..

— Ładne złudzenie! — szepnął po chwili. — Parobek taki, jak ja, tworzy arcydzieło muzyczne... Bo to było arcydzieło! dodał.

Przeszedł się jeszcze parę razy, westchnął, spojrzał na postać pradziada, poruszył głowę i znowu westchnął.

— Trzeba sobie inaczej jakoś życie urządzić.. Za ciężko mi tak, za samotnie!

Wziął świecę, stojącą na fortepianie i przeszedł do swojego gabinetu.

Mijając pokój jadalny, spojrzał na stół, na którym było jedno nakrycie tylko i zastawione od dawna a nietknięta wieczerza. Czy Sawko zapomniał oznajmić mu o niej?... Pewnie już śpi hultaj, albo w piekarni z dziewczkami swawoli.

Rozbierał się, gdy w jadalnym pokoju drzwi cicho skrzypnęły.

— Sawko? — zapytał Hipolit.

— A ja, proszę pana.

— Gaś lampę i spać ruszaj!

Przymknął drzwi, przeżegnał się i rzucił się na łóżko.

Po chwili posłyszał brzęk widelca i noża — to Sawko zmiatał pozastawioną wieczerzę, a widocznie, że wódka popił, bo znaczące: „aaa!” było słychać.

Dziwny miał sen tej nocy pan Hipolit.. Wóz za wozem wjeżdżał na dziedziniec a na każdym z nich siedział Czubiński. Nie dziwiło jednak pana Hipolita Czubińskich tylu naraz. Zwożono słupy i krokwie, budowano dom, który rósł jak ciasto na drożdżach. W jednej chwili stanął szkielet kupionego u Ziemaną budynku, bez pieców tylko, okien i drzwi. Pan Hipolit doglądał roboty.

Nagle, po desce, opartej o futrynę okna, zaczęła ku niemu schodzić panna Matylda. Chwiała się, chcąc równowagę utrzymać, ale zeszła szczęśliwie i o ramię jego wsparła się. Pan Ryba stał na środku pokoju, uśmiechał się i wąs kręcił. W tem Matyldzie przyszła chętka obejrzeć mieszkanie górne. Weszła na schody, nie mające poręczy jeszcze i zaczęła iść ciężko. Była już w połowie schodów, gdy straszny huk dał się słyszeć i ogromna podniosła się kurzawa, z której wyrzła jakaś twarz śliczna o oczach fioletowych, włosach popielatej barwy i uśmiechu dobroci anielskiej. Chmura pyłu przemieniła się w obłok biały, na którym unosiła się ta postać dziewczęca i odpływała w dal zamgloną. Nagle wyciągnęła ręce, położyła je na obłoku białym i grać zaczęła. Tę muzykę już słyszał, słyszał te same dźwięki, to samo niezatrzymane ich konanie. Pan Hipolit rzucił się do widma uroczego, ale drogę mu zaszła matka... W tem zaczął trząść się dom cały, aż zachwiał się portret pradziada i spadł na głowę uciekającego Henryka... Bryzgnęła krew...

Hipolit drgnął i obudził się...

Dniało.

— Jezus Maryja! jak żyję mar podobnych nie miałem. Wyśniły mi się wszystkie znajome twarze: Czubiński, Ryba, Matylda, matka, brat... Ale któż znów jest ta grająca na obłoku?

Zamyślił się.

— Może żona Henryka?

Nagle wzruszył ramionami i śmiać się zaczął.

— Gotowym jeszcze od Czubińskiego sennika pożyczyc! Cha cha-cha!... Ale muzykę pamiętam doskonale!

Dnia trzeciego po balu Hajczyńskim, wychodząc z domu, spotkał idącego człowieka o nadzwyczaj łagodnym wyrazie twarzy, oczach dużych, rozumnych, na które co chwila opadały powieki, jakby były zmęczone czy senne. Wąsy miał białe zupełnie, jak jedwab' lśniące, znać

było, że pieścił je i szanował, brodę zaś strzygł, znać na golenie czasu mu brakło. Człowieczek ów miał na sobie czamare, buty za kolana a niewielka barankowa czapeczka, pochylona nieco na bakier pokrywała głowę siwą, podłużną nieco i znamionną parą poprzecznymi kresami. Ujrzawszy pana Hipolita zdjął czapkę i pochylając głowę w ukłonie, odezwał się:

— January Sochacki —

— A, dobrodzieju! — wykrzyknął Hipolit, — a toś niespodziankę mi sprawił!..

Ujął starego za rękę i uściśnął serdecznie.

— Ale nie poznałem cię, panie Sochacki. Gdy ostatni raz widział, nie było jeszcze tego śniegu na włosach.

— Mleko, mleko — panie kochany! — szepnął Sochacki.

— Czy nie zawczasie?

— Siedmdziesiąt i oko, ani się odjęło, ani dało. Ale jakoś zdrowie jest i jeżeli nie wytrzęsę się na siodle przez dzień cały, o sen — panie kochany — już nie pytać... Lata, lata całe przesiedziało się na grzbiecie konia — to się i przywykło.

Pan Hipolit spostrzegł wierzchowca u płotu przywiązanego.

— Jakto? aż z Borszczów — konno — tu?

— Inaczej nie jeżdżę, nie jeżdżę... A co to za odległość?... Trzy mile tylko, trzy mile...

— Ukraińskie!

— Dojechało się jednak, dojechało!

— Proszę do pokoju, panie Sochacki. Przekąsimy coś i pogawędzimy trochę.

Przy śniadaniu rozmowa potoczyła się żwawo; Hipolit rad był, że miał z kim porozmawiać.

— Więc kiedy do mnie na stałe?

— Tak, jak się mówiło Czubińskiemu, od pierwszego Listopada, bo w dniu tym kończy się termin mojej służby u grafa a i nowemu dziedzicowi trzeba wszystko w porządku zostawić. Przyjechałem tylko do kochanego pana upewnić się.

— Ale cóż znowu! — zawołał Grudowski.

— Tołpiskiewicz mi mówił, że Groblewskiego panu radził. Sumienny, powiadam panu kochanemu cześć i gospodarz dobry, dobry. Nie odmawiam, lecz namawiam.

— Ależ i pan i Groblewski jesteście mi potrzebni!

— Czubiński tylko o jednym mówił: ty w Piaskach panie Sochacki, a w Górkach pan ze mną.

— Rzeczywiście, — potwierdził Hipolit, — zrazu był taki zamiar, lecz rozejrzawszy się bliżej w potrzebach gospodarstwa, zmieniłem projekt. Pan w Górkach, Groblewski w Piaskach a ja wszędzie.

— A, to co innego, co innego, — szepnął Sochacki.

— Kazałem panu przygotować mieszkanie na folwarku, a że pan na większym gospodarstwie zostajesz, musi być i pensja wyższa od tej, o jakiej panu wspominał Czubiński.

— To mniejsza, to mniejsza, kochany panie! — mówił przyciszonym głosem Sochacki. — Na podwyższenie zapłaty nie nastaje, najważniejszym dodatkiem do niej, to słowo dobre, a jeżeli uwaga, to z poczucia sprawiedliwości wypływająca, lecz nie z fantazyi, nie z fantazyi.

— Pan zdaje się masz rodzinę, panie Sochacki? — pytał Hipolit.

— Żona i wnuczka troje... Sieroty — po... jedynaku synu —

Łypnął powiekami, rozpędzając łzy nabiegające.

— Wszystkie są przy panu? — pytał dalej Grudowski.

— Dwoje błazenków przy nas, bo toby sobie rady nie dało jeszcze na świecie; trzecie już na siebie pracuje. Ale i tamte pójda w świat, pójda w świat!

Po przekasce Sochacki wstał i pożegnał pana Hipolita, który na dzień oznaczony obiecał mu przysłać furi po rzeczy i brykę po żonę i dzieci Sochacki dosiadł wierzchowca z rzeźkością iście młodzieńczą.

— Dobry koń. — rzekł pan Hipolit. — Skarbowy?

— Mój własny, mój własny, — odpowiedział Sochacki.

Sklonił się i truchtem wyjechał za bramę.

Pan Hipolit na folwark się udał, gdzie już krzątano się przy odnawianiu mieszkania dla Sochackiego. Czubiński związał się jak mucha w ukropie, wszędzie go było widać i słyszeć.

— Żwawo dziwki, żwawo!.. — wołał na noszące w nieckach szarą glinę do zaprawiania ścian. — A — skurczybyki! — krzyczał na parobków, zacierających w oczy jakieś Maryśce, do której, gdy tłomaczyła się, rzekł: No, no, no — *ne perebenduj!*

Dzień był prześliczny, jakby dobrem wspomnieniem chciała jesień utkwic w pamięci ludzi. Po rozjaśnionem niebie płynęły chmurki, białe jak puch łabędzi, powiewy wiatru łagodne były i dziwnie ciepłe, przed domem pana Hipolita dwa kasztany śnieżnem okryły się kwieciami i jeden krzak bzu wiotką kitą wystrzelił ku słońcu. Zabobonnym pan Hipolit nie był, a jednak ten kwiat śnieżny i drugi liljowy — bzu, dziecinna go prawie napęliły radością. W tem powtórnem okwieceniu się drzew i krzewu widział dobrą wróżbę dla siebie. Na progu jesieni stał i on i jemu w duszy jakiś spóźniony kwiat rozkwitał.

A jesień zapowiadała się długa, pogodna i ciepła. Żórawie nie zrywały się do lotu, bociany nie odbywały narad a stada dzikich gęsi po polach się snuły.

Dobre miał przecucie pan Hipolit, że z posiewami jesiennymi nie śpieszył. Wejdzie w zimę ruń nie zbyt wybujała — urodzaj pewny, a w koło zielenięją takie obszary łąnów.

Wyszedł na wzgórze i powiódł wzrokiem po swoim dziedzictwie.

We mgle oddalenia dostrzegł Piaski, majaczyły białe ściany chat, na wzgórzu stał trójkopulasty dom boży i świecił gwiazdami krzyżów. Wieś cała była połączona do wyspy, rzuconej na zielone tło morza.

Hen — hen, na horyzoncie, pokarbowana gdzie nie gdzie, rozwijała się fioletowa szarfa lasów dalekich, na prawo, bliżej już Górek, złościły się zagajniki i zalesione obszary gruntów piaszczastych, z kądem lekko pochylały się pola, zniżając się ku łąkom i niwom, przerzniętym wiecznie ruchliwymi falami Unawki.

Czy to mistrzostwo promieni słonecznych, gra światła rzucających złudne kolory — lecz okwieciły się łąki i niwy blaskiem purpurowym a na migotliwych falach Unawki raz w raz rozsypywało się złoto.

Pan Hipolit spojrzał za siebie.

Ta sama błękitno-fioletowa wstęga lasów, przerwana gdzie nie gdzie tylko i poszarpana. Niedys tam były wspaniałe knieje Grudowa i Dziadyszek, dziś coraz więcej wykąsów widać i łysin, na których zólcieją rzędy stosów lub stoją drzewa, jak przerzedzone szeregi wojsk po przegranej walnej bitwie.

Obszar rozciągał się na mil kilka, rozścielał się równiną wielką, gdzie nie gdzie garbił się wzgórzami.

Orli wzrok patrzącego dojrzał Hajczyńce... Na uboczu nieco wznosiła się grupa drzew, kilka topol rysowało się widocznie — to dwór!... A bliżej — Podhajce Tołpiskiewiczza, Zwoleniec Ziemaną, Sudryń Markowa, Grudow, Dziadyszeki i znowu jego łąny, które do samych już Górek przybiegły, kąpiąc się w słońcu jesiennego po-złocie.

Czy on spodziewał się kiedy, że zazielenięją tak bujnie, tak się wspaniale ozłocą? Nie było jednego kawałka ziemi, gdzieby stopą swoją nie stanął, gdzieby nie padły krople jego potu... Ten szmaragd pól i złoto lasów, to — jego praca!

Uczuł jakiś niezmierny spokój i nieznanne dotąd pragnienie życia. Gdyby mu kto w tej chwili powiedział: umrzesz! z sił wszystkich bronilby się przeci temu wyrokowi. Rzucił raz jeszcze wzrok wkoło i mimo woli zatrzymał się na Hajczyńcach.

Zdaleka przylatał wiatr, włos mu cesał i niósł dźwięki jakieś stłumione i wonie przewiewnych kwiatów. Słyszał niewyraźny szelest traw, uderzenia dzwonów piaszczańskich, to gdzieś wysoko, hen — niezmęczony śpiew skowronka. Od-dychał pełną piersią, raz wraz zwracając oczy w strony Hajczyniec.

W doskonałym humorze wrócił do siebie, a gdy podano do stołu, Sawka zdziwił się nieprzyjemnie, że pan ani na półmisku, ani na talerzu nie zostawił.

O godzinie piątej, siedząc w swoim pokoju nad rachunkami, zasłyszal trzaskanie z biczem. Ktoś wjeżdżał w dziedziniec — słyhać było różne parskanie koni i dźwięk resorowego po-wozu.

Hipolit spojrzal w okno.

Elegancka karetka w cztery zaprzężona konie, zatoczyła się przed ganek mieszkania pani Karoliny.

— Matka! — zrazu pomyślał Grudowski, — ale po chwili dostrzegł omyłkę.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Z PARYŻA.

W Lutym.

Karnawał przeszedł i zima przechodzi. Wiosna w południowych, słonecznych godzinach pachnie już w powietrzu, lecz jeszcze wcześniej aniżeli ciepło i słońce zapowiadają ona najpiękniejszą, najponętniejszą porę roku nowości w strojach damskich. Dość jest przejść przez ulicę de la Paix, gdzie obrały siedlisko najpierwsze w Paryżu magazyny, gdzie w każdym prawie domu mieści się bądź to jakiś krawiec sławny, bądź modystka pierwszorzędna, i zobaczyć te nieskończone sznury powozów czekających lub zajeżdżających przed owe czarodziejskie „ateliers“, z kąd wychodzą istne cuda wytworne-go smaku i zbytku, aby poznać, że jesteśmy w przededniu zmiany „sezonu.“

Koniec karnawału przynosi też z sobą zmianę zabaw i obowiązków towarzyskich. Miejsce ba-łów, maskarad, zastępują rauty, odczyty, koncerty „matinées.“

Teatry tylko do lata pracują niestrudzenie. Przynać atoli należy, iż rok ostatni nie obfitował w utwory sceniczne wybitniejszej siły. Prawdziwym powodzeniem cieszyły się i cieszą tu jedynie sztuki w charakterze farsy, często płaskiej bardzo, naszpikowane nieprawdopodobnymi sytuacjami, drastycznymi wielce.

Teatr „Porte Saint-Martin“ wyszykował sztukę Bergerac'a p. t. „Plus que reine.“ Coque-linowi przypadła rola Napoleona, pannie Jane Hading rola Józefiny. „Plus que reine“ jest sztuką w ośmiu obrazach. Pierwszy, przedstawia ogród przy Palais Royal, gdzie Napoleon spotyka po raz pierwszy Józefinę. Następne obrazy mają za tło: Malmaison, Tuilleries, Fontainebleau, Saint Cloud, słowem, wędrówka przez wszystkie pałace cesarskie. Ostatni obraz rozgrywa się już po rozwodzie, Józefina jest sama w Malmaison, Talleyrand przybywa oznajmić jej o urodzinach króla Rzymskiego.

Théâtre-Libre, który dawniej niejednemu talentowi torował drogę do sławy, w ostatnich czasach w wyborze sztuk nie miał szczęśliwej ręki. Obecnie wystawia sztukę Jerzego Ancy L'Avenir. „Dawniejsze utwory tego autora, wystawione w tymże samym teatrze: „Les Inséparables“, „La Dupe“, „L'école des Veufs“, zapowiadały talent niepospolity. „L'Avenir“, aczkolwiek, rzecz nie pozbawiona pewnych zalet, nie odznacza się jednakże zbyt pomysłową, a nadewszystko smaczną treścią. On i ona, Jeanne i Etienne, pomimo wzajemnego dla siebie przywiązania,

rozchodzą się z powodu braku majątku. Jeanne zrazu rachuje na wspaniałomyślność ojcowskiego przyjaciela, pana Masson, który jako bez-dzienny i kawaler, mógłby jej zapewnić posag. Zamiast jednakże pomocy, przyjmuje propo-zy-cję starca i sama wychodzi za niego. Rozumie się, iż nie obywa się tu bez walki, namysłu, w końcu wszakże 50 tysięcy renty rocznej prze-waża i Jeanne zostaje panią Masson. Kiedy po dziesięciu latach p. Masson pozostawia po sobie młodą wdowę, ów pierwszy wybrany Jeanny, który z rezygnacją patrzył na związek ukocha-nej z panem Masson, albowiem rachował na po-dobne rozwiązanie, ponownie zjawia się jako kandydat do ręki pięknej wdówki. Przyszłość zawiodła go. Jeanne w ciągu lat dziesięciu miała czas zapomnieć o pierwszej swej miłości i rękę swoją oddaje innemu.

Trudno to, co prawda, dyktować autorowi, jak ma być treść pisanej przez niego sztuki, trze-ba jednak mieć siłę Moliere, aby satyra umiała nietylko zająć, lecz przez samą głębokość swoją ratowała brzydotę treści. Dobre typy i dowcipny dyalog jeszcze ku temu nie wystarczają.

W poprzednim liście wspominałem o in-nych pierwszorzędnych teatrach, a, jak wiado-mo, w Paryżu raz wystawiona sztuka nie prędko schodzi z repertuaru. Dodam tylko o wystawie-niu w Operze komicznej opery Beethovena „Fi-delio.“ Beethoven na scenie w Paryżu jest pra-wie debutantem. Od ostatniego przedstawienia „Fidelia“ upłynęło trzydzieści kilka lat. W tło-maczeniu Michała Carré i Juliusza Barbier ope-ra ta wystawiona była w teatrze lirycznym. Pa-ni Viardot była porywającą Leonorą, ale za to Florestan był niżej wszelkiej krytyki. Opera ko-miczna z wielkim pietyzmem zabrała się do wy-studyowania nowego dla jej personelu dzieła i do zapoznania Paryżan z Beethovenem, nie sądzę wszakże, aby Francuzi, przy ich braku wykształ-cenia muzycznego, bardzo przejęci byli klasy-czną kompozycją.

Na brak nowości literackich narzekać nie można, lecz nie wiele jest do wyliczenia takich, któreby na pochlebną zasługiwały ocenę. Żywe zajęcie wzbudza zapowiedziana powieść Alfonsa Daudet'a pod tytułem: „La caravane.“ Po śmierci autora „Sapho“ znaleziono naszkicowaną po-wieść, do której liczne komentarze stanowią zu-pelnie wystarczający materiał aby dzieło wy-daniem być mogło. Wykończonych zupełnie było zaledwie stronnic sto. Te, wraz z planem całości i dodatkowymi komentarzami złożą się na spory tom, po przeczytaniu którego, czytel-nik będzie miał obraz sposobu tworzenia Dau-deta i łatwo sobie w wyobraźni całość dopełni.

Z najnowszych książek chwalone są:

„Josephine de Beauharnais“ Fred. Masson — i „Les pechés des autres“ Leona de Tinseau.

Kobiety upominające się w naszych czasach tak głośno o równouprawnienie, bywają czasem niekonsekwentne gdyż tam, gdzie im prawo samo owo równouprawnienie przyznaje, one uchylają się od niego. Wymownym tego przykła-dem były niedawno wybory do Izby handlowej w Epernay. Jedną ósmą prowadzących tam sa-modzielnie interesy stanowią kobiety, przez co przysługuje im prawo głosu i wyboru. Na wy-bory jednak nie stawiała się żadna.

Tem dziwniejszym jest ów przykład, że we Francji kobiety, nawet zamożne i wytworne dają dowody wybitnej i energicznej pracy. Mam tu na uwadze dziennik „La Fronde“, z którym chcę bliżej czytelniczki moje zapoznać.

Z góry uprzedzam, że dziennik niezem w za-łożeniu swem nie odnosi się do historycznego powstania z XVII-go wieku. Prawda, że histo-ryczna „La Fronde“ pociągnęła też kobiety, wszak piękna księżna de Chevreuse w mężkiem przebraniu przebiegała Francję i Anglię, —lecz dziennik, rozwijający od roku działalność swą w Paryżu, to tylko wspólnego ma z przedwie-kowem powstaniem szlachty, że od niego zapo-życzył sobie miana.

Oprócz „La Fronde“ istnieją wprawdzie inne pisma, prowadzone przez kobiety, „La Fronde“, jest jednak jedynym w tym rodzaju, politycz-nem, do tego codziennem, a przede wszystkim

jedynem, w któremby, poczynawszy od redaktorki i szefa administracji, skończywszy na współ-pracowniczkach, ba, nawet na drukarkach i roz-nosicielkach, pracowały wyłącznie kobiety.

Co mnie wielce zadziwiło, podczas zwiedza-nia domu przy ulicy Saint Georges Nr 14, który jest własnością dziennika i zajęty przez niego od posad do strychu, to to, że nie spotkałem ani jednej kobiety „bas bleu“ w ujemnem tego sło-wa znaczeniu. Urządzenie także sprawia przy-jemną niespodziankę. Wszędzie ład wzorowy łączy się z wykwintem i dobrym smakiem, któ-re względnie do naszych pojęć i przyzwyczajęń śmiało nazwać można zbytkiem.

Obszerny, widny przedpokój, poprzedzony niewielkim przedsionkiem, wspaniale oświetlony wieczorem, ozdobiony jest malowidłem, będą-cem oryginałem artystycznych afiszów dzien-nika. Obraz, wykonany przez zbiorowe siły kil-ku młodych malarek, przedstawia grupą kobiet, wyobrażających różne stany, którym, z wysoko-ści wzgórza Montmartre, postać, otulona w lek-ką, ślicznie udrapowaną zieloną szatę, wskazuje w głębi leżące miasto. Ruch i wyraz twarzy postaci w zielonej szacie mówią: „patrzcie! tam jest wasza przyszłość i wolność, wasze szczę-ście. Idźcie, ja was poprowadzę!“ Nie bez my-śli pewnie artystka ustroiła głowę postaci na obrazie w złościsto-rudawe włosy, takie same, ja-kie zdobią piękną głowę redaktorki „La Fronde“, pani Durand.

Z przedpokoju przechodzi się do wielkiej tak zwanej hali, której trudno byłoby nadać jakąś specjalną, zupełnie właściwą nazwę.

Miękki dywan w kolorze przeważnie oliwnym zaściela całą podłogę. Piękne, mahoniowe sprzę-ty pokryte zielonym materiałem „Liberty“ po-rozstawiane z wielką umiejętnością, szerokolist-ne palmy i kwitnące rośliny w żardinierach, rozmaite albumy i rysunki poroskładane na sto-łach, nadają pokojowi nader przyjemny wygląd. W dużej nisze wsunięty kredens zastawiony jest orzeźwiającymi napojami, tak, że kto tutaj dłu-ższą chwilę czekać jest zmuszony, może bez wo-lania na służbę ugasić pragnienie.

Na parterze znajdują się także biura ogłoszeń ekspedycji i kasa. Za kratkami, nad zielonem-stołami pracują pochylone kobiece główki, są-niste rejestry buchalteryjne prowadzone są przez nie, drobne paluszki wypłacają honora-rya i odbierają wpływy. Od czasu do czasu, nadzwyczaj wytwornie ubrana, zręczna i pra-wdziwie po paryzku szykowna, ukazuje się ze swego gabinetu dyrektorka administracji, pani Serveille. Pewnie rzadko kiedy tak miła i pię-kna osóbką spędza czas nad sprawdzaniem su-chych cyfr i obliczaniem rachunków.

Na pierwszym piętrze znajduje się drukarnia. Tutaj życie zaczyna się dopiero około godziny 4-ej, lecz za to, elektryczne lampy nie bywają ni-gdy gaszone przed 2-gą po północy. Piętnaście zecerek składa kolumny dziennika „La Fronde.“ Pracownice są tak dobrze płatne, jak mężcy ze-cerzy w drukarniach, to jest, mniej więcej osiem franków dziennie, ponieważ zasadą tego dzien-nika jest ocenianie pracy kobiet tą samą miarą, jaką oceniamy pracę mężczyzn.

Kwiatki na pulpicie, lusterko na ścianie, zdra-dzają że mamy do czynienia z zakładem, w któ-rym pracują kobiety, —nie są one wszakże po-zbawione praktycznego zmysłu, umiającego przyswoić sobie jakąś nowość. Wiele pomiędzy niemi jest dobrych cyklistek, które do drukarni przybywają na rowerach. Sport ten pomiędzy niemi rozwinął się przeważnie z powodu późnego do domu w nocy powrotu, często do bardziej od-dałonych dzielnic stolicy. Rowery znajdują po-mieszczenie w dużym, widnym pokoju, przezna-czonym na korektę. Tu, ze swemi pomocnica-mi pracuje główna korektorka dziennika, kobie-ta już niemłoda, niezmiernie bystra i gorliwa.

Szeroki korytarz prowadzi z drukarni do przedpokoju głównej redaktorki, pani Małgo-rzaty Durand. Odrazu znajdujemy się w oto-czeniu, które stworzyć mogła jedynie kobieta z umysłem wykształconym i prawdziwie arty-styczną duszą.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg).

Gabinet w stylu Ludwika XV-go ze sprzętami jasnymi, rozrzutnie przybrany liściastymi roślinami i żardinierami pełnymi kwiatów, oraz kosztownymi, wysoce artystycznymi drobiazgami, jest ostatnim wyrazem dobrego smaku. Jakby stworzoną do tego otoczenia jest piękna, pełna wdzięku pani Durand, która dobrze obeznana ze stosunkami paryżkiej prasy, polityką i towarzyskim życiem stolicy, jest główną kierowniczką dziennika.

Przegląd rękopisów i załatwianie spraw ze współpracownikami należy do pomocnicy pani Durand, sekretarza redakcji, pani Fournier.

Do biura pani Fournier idzie się o piętro wyżej. Tu znajdują się pulki z książkami, pokrywające całe ściany, stopy rękopisów i korespondencji. Pani Fournier, żywa, czynna, uprzejma i dystygowana, panuje w swoim małym państwie i nie zna prawie spoczynku. Przyjmuje interesantów, telefonuje, rozsyła listy, zagląda do drukarni, słowem całą duszą oddana swemu zawodowi.

Naprzeciw jej gabinetu położony jest ogólny redakcyjny pokój, gdzie wesoło jest i ruchliwie jak w gołębniku. Pomiędzy 5 a 7 literalnie drzwie się tam nie zamykają. Współpracownicy przychodzą czytać korekty swoich prac i opowiadają sobie wzajemnie nowości, a bywa czasami że i cylinder zabłąka się pomiędzy damskie kapelusze i woalki.

Obowiązek otwierania drzwi i meldowania przybyłych należy do kilku młodych służących, ubranych w ciemno-zielone suknie, staniczki zapinane na złocene guziki i wysokie stojące, białe kołnierze. Jedynym mężczyzną w domu „La Fronde” jest odźwierny, a to gwoździ zachowania zgody z przepisami policyjnymi.

Niechaj czytelniczki moje nie wnoszą jednak z tego opisu, że personel dziennika nieprzyjaznym jest dla brzydkiej połowy rodu ludzkiego. Pracownicy „La Fronde” nie myślą bynajmniej o zwyciężaniu mężczyzn na jakimkolwiek polu, chcą tylko dowiedzieć, że kobiety mogą same prowadzić i rozwinąć poważne przedsięwzięcie, chcą też stworzyć rodzaj trybuny, z której kwesty dotyczące kobiet roztrząsane będą.

„La Fronde” wystąpiła odrazu dumnie i niezależnie, nigdy atoli nie przybiera tonu wyzywającego. Idea pokoju zajmuje w szpaltach dziennika stałe i wybitne miejsce. Zabiegi około utworzenia i rozszerzenia tego pisma wykazują jasno, że poważna, zawodowa praca doskonale łączyć się może z kobiecym wdziękiem.

Ciepłym wspomnieniem należy uczcić zmarłą tu baronową Staffe, z domu Hermigny, która była gorliwą pracowniczką na niwie umiędzynarodowienia przepisów towarzyskich. Książka jej o „Savoir vivre” (Zwyczaj towarzyskie) tłumaczoną też jest na język polski.

Otwieram jeszcze list, przygotowany do drogi, aby dopisać słów kilka pod wrażeniem wiadomości, która wczoraj późnym wieczorem rozeszła się po Paryżu, a którą jest wiadomość o nagłej śmierci prezydenta Rzeczypospolitej francuskiej. Wiecie już o niej, czytelniczki moje, z telegramów, lecz pojedyncze usposobienie i takt na wysokim stanowisku zmarłego Feliksa Faure’a zasługują, by śmierć jego nie pominać milczeniem.

Za wzmianką tą nasuwa się wątpliwość, czy domniemany następca, jakiego powszechnie upatrują w osobie obecnego prezesa senatu, Loubet’a, zdoła wykazać na trudnym dziś niezmiernie stanowisku, dostateczną moc woli, sprawiedliwość i energię, któreby formie obecnego ustroju państwowego trwałość i poszanowanie wewnątrz i nazewnątrz zapewnić zdołały.

Es.

Przytoczę tu zdarzenie, jakie miał w Warszawie na balu publicznym — za panowania Stanisława Augusta — sławny nasz aktor i dyrektor teatru, pochodzący ze znakomitej rodziny, poświęcający się dla podniesienia mowy i obyczajów ojczystych, autor dzieł dramatycznych i twórca sceny narodowej, Bogusławski; — aby dać wyobrażenie, jakie o tej klasie osób, szanowanych już wedle zasługi w stolicy, miano jeszcze mniemanie na prowincyi — i to w wyższych stanach.

Dama jedna z możniejszych przybywa z dóbr swoich z córką na karnawał do Warszawy. Ulaże się na bal publiczny. Panna była piękną. Bogusławski umiał ocenić jej wdzięki i zaprosił do tańca. Był dorodny, układny. Taki tanecznik podobał się pannie, zbudził ciekawość matki.

— Któż jest ten, co tańczy z córką moją — zapytała sąsiadki.

— To Bogusławski — była krótka odpowiedź.

— Jakaż jego godność?

— Jest aktorem — odpowiedziano.

— Jak to! komedyant? A niechże pan Bóg broni!

Skończywszy taniec, córka usiadła obok matki — zwrócono na nią oko — młodzież dopytywała się: „kto ona jest?”

Wtem pan Bog. zamawia piękną swą tancerkę w pierwszą parę poloneza. Nauczona przez matkę, zapytuje go panna:

— Niechże wiem godność pańską?

— Dowiesz się pani — rzekł stanowczym głosem, podając jej rękę.

Panna uległa pierwszemu wrażeniu obawy, żeby nie uchybić widocznym oporem — i stanęła z nim w parze.

Po krótkiej pauzie uklonił się tancerz — i wtórując muzyce, zaśpiewał dyskantem:

„Któż to Wepan, jesteś?

Cóż to Wepan robisz?

Lepiej Wepan powiedz

Jak się Wepan zowiesz!”

Dodał potem pięknym tenorem:

„Jestem Bogusławski,

Mieszkam pod Jeleniem,

Patrzę na Wepannę

Z wielkiem podziwieniem...”

Przychylił głowy z wdziękiem, podał rękę z akcentem, posunął się z miejsca i rozpoczął polonez bez odkłaśnięcia. Podobało mu się tańczyć dość długo. Dama zapewne bardzo się sfatygowała tym tańcem, bo skończywszy, zbliżyła się do matki — ta powstała, wyszły obie z sali balowej — i więcej ich nie widziano w Warszawie.

Panna Būrnet, o którą zagadła mnie ciocia, była córką kupca drzewnego, który zakupując bory w Polsce, woził z sobą jedyną swą córeczkę, jako wdowiec i ojciec troskliwy. Utraciwszy żonę wziętą z baletu, był nieukończony w żalu, — miała być piękna i tańczyła przecudnie. Nie tak się miało z córką. Głowa jej zajmowała trzecią część ciała, rysy miała pospolite, wyrażenie nie więcej szlachetne. Lubiła taniec, skakała nieustannie, siliła się na ruchy baletowe, była przytem niezręczna i sztywna. Natrętnie się do mnie czepiała, uważała się po części za moją ziomkę i przeszkadzała mi w moich ćwiczeniach naukowych.

Jednego razu więcej jak zwykle jazgotała, ja miałam pilne przygotowanie — nie mogłam jej się pozbyć grzecznie, więc wyraźnie prosiłam o spokójność, ale słowem moim znać towarzyszył gości pogardliwy, wywołany może wspomnie-

niem, że to kupcówna i córka komedyantki. Nazwała mnie „księżniczką teatralną.” Oburzona tą nazwą poniżającą, uniosłam się taką niecierpliwością, że jej wydzieliłam policzek. Przeleżałam się własnego czynu i zalałam się łzami — ale stało się.

Rozruch ogromny powstał pomiędzy pensyonarkami. Wezwano ciocię — przybyła natychmiast — weszła krokiem uroczystym, jaki jej był właściwy przy wielkich wydarzeniach. „Na co się panna odważyła?” — zagadnęła mnie surowo. „Przepraszam publicznie pannę Būrnet!” Najchętniej i najszybciej to uczyniłam — i ona czuła zapewne, że mnie to zapomnienie się wiele kosztowało, bo mi łatwo darowała urazę. Ale ciocia dla ukarania winowajczyni zapowiedziała paunom, żeby się ze mną nie wdawały. Ja też uprzedziłam je. Zasiadłszy w wielkim odosobnionym fotelu blisko pieca, zabrałam z sobą książki i koszyk dobrze ubezpieczony w materjały niezbędne przy nauce, a nawet i w niektórych łakocie.

Wzięłam się szczerze do dzieła, mniej dbając o ich towarzystwo, niż o opinię, która przeciw mnie powstała. Przez mego ojca lepiej niż inne pensyonarki w pieniądzu byłam zaopatrzona, wszystkiego u mnie panny pożyczaly, a ja nigdy zwrotu nie upominałam się, one też lubiły o tem zapominać, a ja im pożyczek nie wymawiałam, byłam więc koleżanką bardzo dogodną... Dla tego wkrótce chciały mi przywrócić swe względy. Ale że w pierwszych chwilach podobało im się martwić mnie, więc ja sama ociągałam się z przywróceniem im mojej przyjaźni.

Były to już rzeczy dawno minione... nie mogłam się skarżyć ani na względność zwierzczeń, ani na przychyłność współlucznice; starsze i wiele wyżej usposobione ode mnie, poszukiwały mej przyjaźni — wzbudzałam powszechnie interesowanie. „Kiedy się nie bawisz z młodemi” — rzekła panna Bocquet — „pójdź do mego gabinetu, spędzimy wieczory z sobą we dwie.” Przyniesiono herbaty, wypiliśmy razem. Podano karty — nauczyłam mnie grać Rabouza, była to ulubiona gra dworska. Ile osób, tyle talij kart francuskich wymagała. Łatwo jej się nauczyłam.

Te chwile wieczorne, w których przebiegałyśmy nietylko pisma peryodyczne, ale wiele dzieł nowowychodzących, objaśnienia i uwagi światłej mej opiekunki, rozmowy nasze, do których później ośmieliłam się, więcej nad wszystkie dotąd nabyte wiadomości oświeciły mnie i zachęciły do ciągłego kształcenia umysłu mego. Odtąd wzajemnie przywiązałyśmy się. Ona mnie wprowadzała we wszystkie piękne społeczeństwa, gdzie zapraszana była zwykle z dwiema elewami; drugą była panna Milon Stamford, córka jenerała i ochmistrzyni dworu brunświckiego.

Przy każdej sposobności pomiędzy prezentowanymi gośćmi pensyonarkami byłam i ja. Ztąd mnóstwo zaprosin: to do teatru, to na wieczory, na zabawy w ogrodach, a wszędzie mną się szczególnie zajmowano, jako cudzoziemką — nadewszystko zostałam celem ciekawości osób starszych wiekiem. Badano mnie o rzeczy mego kraju, nad którymi w dzieciństwie nie zastanawiałam się. Zwrócono tem samem uwagę moją na przedmioty, o których nie myślałam dawniej; pamięć przyszła mi w pomoc i byłam w stanie objaśniać rzeczy, przechodzące niegdyś jak sen przed oczami moimi. Splawianie drzewa, użytk z pieńków, gałęzi i krzewin, z popiołów z nich wypalanych... i tym podobne zapytania zaspokajałam z ich i mojem własnem zadziwieniem.

Niemki lubią robić małe, a otrzymywać za to wielkie podarki; przywiązując do nich wartość, nie rade pozbywają rzeczy do nich należące. Każde urodziny, wesela, rocznice i jubilaty obchodzą ze skromną uroczystością, ale upominki wszędzie odgrywają znaczną rolę. Niemki, sentymentalne po większej części, wymagają upominków bez ogródki, przymówią się gładko i chętnie przyjmą na wieczną pamięć datek uczyniony, ale zaczepione, nawzajem odpowiadają z ławością, że im przykro nie móż się wywdzięczyć żądanym przedmiotem, bo wszystko co po-

siadają jest—upominkiem chociażby pochodziło od rodziców lub męża—i jest pamiątką tego lub owego dnia ważnego w historii powszedniego ich życia. System ten niezmiernie wygodny, jest doskonale zastosowany do ducha dorobkowości niemieckiej.

Przy takiej sposobności wymówiłam się pewnego razu przed „ciocią“ w obecności pensjonarek, że rodzice moi znaczne podarki czynią żonom urzędników, a one nawet w sposobnej chwili polecają im sprawunki, za które nie otrzymują wyłożonych pieniędzy.

— To pewnie nawzajem ci urzędnicy ofiarują im podarki?

— Zdaje mi się, że nie, bo nigdy żadnego takiego nie widziałam wywzajemnienia.

— To być nie może!—zawołano

Ja zamilałam, ale tak było, a w miniaturze obraz ten przedstawiał mi się codziennie pomiędzy memi koleżankami.

Był to zbiór panien ze wszystkich warstw społeczeństwa składający się. Córki generałów, siostry dam honorowych, same częstokroć do dworu przeznaczone i dla tego panna Bocquet miała zaprosiny do wszystkich ksiąząt, oprócz na pokoje królowej.

Bywałam wprawdzie w pałacu Radziwiłłów i to dość często, ale tylko prywatnie u guwernantki młodych ksiąząt—z córkami jej. Te swawolne dziewczęta chodziły ze mną po całym ogrodzie; zwiedzałyśmy przeszliczną oranżeryę, dostarczającą przez cały rok kwiatów na grób młodziuchnej księżniczki, dla której w tym ogrodzie nagrobek był wystawiony z pięknego białego marmuru. Wzniesiony nad poziom rozległego trawnika, otoczonego żelazną niską kratą, zamkniętą na klucz, spoczywający w woreczku księżnej, usunięty był od profanacji obcych przychodniów, — a ręka matki nosiła codziennie buki t i rozsypywała go na zimny marmur pomnika. Widywałam księżnę w czasie tych żałobnych przechadzek—samotną—w białym negliżu, z białym walisowym woreczkiem do klucza, w białym batystowym kapeluszu. Wydawała się jak posąg suwający się ku nagrobkowi, odbijający jak on śnieżną białosć na zieleni drzew i trawnika.

Wnętrze pałacu niemniej zajmujące dla Polki przedstawiało przedmioty. Sala muzyczna, wychodząca na ogród, zaopatrzona w instrumenty rozmaitego kształtu i gatunku, w pulpity i nuty muzyczne, umeblowana w krzesła, ławki i taborety, przeznaczona była nie tylko do dźwięków i wykonania dzieł kompozycji samegoż księcia, ale i do przyjmowania goszczących Polaków. Z początku przyjmowani byli głównych apartamentach w obec księżnej pani. Ale gdy ton lekki, z jakim traktowano gospodarza na równi z każdym z odwieczających go, raził dumę córki królewskiej, wyznaczono to miejsce odosobnione do przyjmowania ziomek pana domu. Wiele później uprzejmiejszą była księżna pani dla Polaków, kiedy książe Antoni, jej małżonek, został namiestnikiem Księstwa Poznańskiego. Chowała się razem z młodą księżniczką Elizą małą sierotką, dziecię podrzucone, znalezione w borach Przygodzickich: mała Malwina Esbé. Na białej jej znaleziono cyfrę S. B. i takie jej nadano nazwisko. Wychowanie, ubiór, zabawy nie różniły jej od księżniczki. O dalszym jej losie nie mam żadnej innej wiadomości—tyle tylko, że jeszcze w Poznaniu znajdowała się na dworze.

U ksiąząt Radziwiłłów bywały z panną Bocquet panny do dworu przeznaczone—i dla mnie gotowała ten wstęp, ale inaczej się stało. Teraz ograniczała się na wprowadzanie mnie do do-

mów wyższych urzędników i dygnitarzy, jako to posłów zagranicznych, tajnych radców dworu, z których pamiętnie mi są nazwiska: Bassewitz, Malzow, Göcking, Winterfeld, Alopeus, Engeström. Tam spotykałam młodą księżniczkę Byron z jej guwernantką Polką, ucieszoną, że rodowitym językiem rozmawiać może w Berlinie.

Tam poznałam sławną wówczas panią Herz, bankierową, żydówkę, odnoszącą pierwszeństwo nad wszystkimi kobietami berlińskimi—z piękności, nauk, talentów i wykształcenia salonowego. Było w istocie coś zadziwiającego w tej kobiecie.

Nie mogłam nigdy dojść, co powodowało tak znakomite w różnym rodzaju osoby, że się do mnie zbliżały, bo nawet w ciągu gier dziecinnych, w oddzielnych pokojach odbywających się, jak gdyby mnie tylko szukano, zaczepiona bywałam. Zapewne ciekawość poznania cudzoziemki, a być może i przychylność panny Bocquet ściągająca mi to zainteresowanie się moją osobą; ztąd Berlinianie zdawali mi się bardzo uprzejmymi dla Polaków.

Przez rodziców moich wprowadzona byłam do dam naszych, mieszkających w Berlinie i domy ich wskazane mi były do przepędzenia chwil wolnych od nauki.

Pani Rydzyńska, poważna wiekiem, miała jednego syna i mieszkała w Berlinie dla jego edukacji; uczęszczał już do wyższych szkół stolicy i miał towarzysza przybranego do swych wycieczek, pana Arciuchowskiego. O ile syn domu miał śmiesznej powagi, o tyle kolega był dziwnie roztrzepany. Nigdy później o nich nie słyszałam. Tam poznałam biskupa Warmińskiego, brata pani Rydzyńskiej. Szanowny ten praelat bywał u dworu—powaga jego cudnie się łączyła z dobrocią i uprzejmą łatwością przechodzenia na każdy ton rozmowy. Umiał znaleźć przedmiot do zabawienia się ze mną, zachęcał mnie do nauk i przyjął żądany odemnie rysunek po 4 miesięcznej nauce, jakby najmiłszy dar przyjacielski. Odsyłał mnie swoim powozem i zachowywał względy prawdziwie opiekuńcze.

Pani Grudzińska, szambelanowa, stryjenka późniejszej księżnej Łowickiej, niedawno, i to już w Berlinie, owdowiała, przedłużała tam pobyt swój. Żyła w wielkiem odosobnieniu, ale dworno; nigdy nie widziałam tej damy zajętej czem innem, jak przechodzeniem się po pokojach i spoglądaniem w lustra jej postać odbijające. Na gierdydonie leżała pończoszka rozpoczęta, ale nic nie urosła przez półtora roku mego przebywania w jej domu, i pierwszy tom Montesquieu „O duchu praw“, w temże samem miejscu założony. Co do ostatniego, sądziłam, że to na pamiątkę ostatniego czytania jej zmarłego męża, ale nie zdawało mi się wiary godnem, aby i pończoszka odtąd nietknięta była dziełem rozpoczętem przez nieboszczyka szambelana Grudzińskiego. Doktor Böhm był jej domowym lekarzem—i dla mnie przez rodziców wskazanym—jego tylko i to dość często widywałam u pacjentki. Pani Grudzińska była nie zajęta niczem—i wiecznie milcząca. Kiedy u niej byłam, bawiłam ją opowiadaniem drobnych mych wydarzeń—i to ją bawiło, raczej rozrywkę jej czyniło w jej odosobnieniu. Wówczas używała życia, kiedy kazała zaprząć i wyjechałyśmy za miasto, czasem tylko po mieście—czasem, nawet dość często brała mnie na teatr, spytała czyli nie żądam ciastek, cukrów, pomarańczy i t. p.; dzieci nie odmawiają łakoci—przyjmo- wałam z wdzięcznością.

Jednego dnia wywołują mnie w czasie lekcyi. ujrzałam w sieni pannę służącą pani szambelanowej Grudzińskiej; myślałam, że zaproszenie do teatru lub coś podobnego. Przeciwnie—bilet z pożegnaniem—opuszczała stolicę. A przytem? karteczka z kolumną liczb, które mi przypominały, ile przez ciąg przebywania u niej zapłaciła biletów na teatr, za limonady, cukry, owoce i ciasta. Wyniosło to około 60 zł., o których zwrot upraszała moja łaskawa protektorka. A to nie po polsku! Zawstydyłam się za nią—i zapłaciłam bez żalu... za tę niespodziankę.

Pani Lipska, siostra znanego już landrata Chmielewskiego, rozłączona z mężem, matka dwojga niedorosłych dzieci Ignacy L., który uczęszczał do gimnazjum Joachimsthal. Teresa w moim wieku będąca nie pobierała żadnych nauk, oprócz tych, które brat i matka udzielać jej mogli. Kochałam Teresię, a szczere jej wyznanie, jak mi zazdrości edukacyi tak starannej, obudziło we mnie smutek, którego przed moją guwernantką ukryć nie zdołałam. Na jej zapytanie opowiedziałam co mnie zasmuca: los pani L. nie zostawiał jej funduszu na edukację córki, chociaż jej brat wiele dopomagał do wychowania syna.

Panna Bocquet postanowiła wizytować panią L.—udałyśmy się obiedwie do niej. Po powrocie zapytała mnie:

— Czyż to portret tego mężczyzny w białym uniformie z gwiazdami, co zawieszony w pokoju pani L.?

— To Stanisław Poniatowski, ostatni z królów polskich—odpowiedziałam.

— Także!

Słowo to wprowadziło mnie na myśl, że posadzała przystojną jeszcze panią L. o jaką intrygę.

— Zaproponuj pani L., aby córka jej chodziła do mnie na pensję—to mi nie uczyni żadnej różnicy—jej dogodzić mogą—a będzie mi miło dopomódz nauką młodej tej osobie, okazującej tyle dobrych chęci.

Nie pilniejszego nie miałam, nad oświadczenie pani L. tej uczynności mojej ochmistrynii.

— O, moja kochanko! nigdy nie śmiałabym przyjąć usługi, której wynagrodzić nie zdołam, a jakkolwiek Teresa mało będzie posiadała nauki, niech ją będzie winna matce i bratu, a nie przyzwyczajają się do poniżenia, którego bym znieść nie zdołała ani dla niej, ani dla siebie. Ta twoja panna Bocquet jest bardzo godna osoba, podziękuj jej bardzo uprzejmie i powiedz, ile mnie to kosztuje, że nie mogę przyjąć tak wspa- niałej ofiary bez ubliżenia sobie...

— Otóż—pomyślałam—Polka!... Czy mi się cisnęły do oczu, ale czy zadowolenia; uścisnęły się wszystkie trzy i zrozumiwały zupełnie... choć porozumienie to w niemej odbyło się scenie.

Teresa później poszła za mąż za pana Dębińskiego w Pałukach, podobno dość szczęśliwie. Jej brat Ignacy, przemysłowi gospodarskiemu oddany, uchodzi za jednego z pierwszych agromomów w księstwie Poznańskim. Ale oddaliwszy się z Berlina, już ich nie widywałam.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 4-ty powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. Tom II-gi.

Treść: Trentowski o kobietach, przez Bronisława Trentowskiego.—Przy kominku (Pogawędka), przez ?? — Postacie niewieście w poezjach L. Kondratowicza. Studium psychologiczno-etyczne, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg). — Kazimierz Gliński. Krzywdy. Powieść (dalszy ciąg). — Z Paryża. przez Es. — Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg).

Dodatek obejmuje *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusz 4-ty. Tom II-gi. — Przegląd mód. 25 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Kraków.—Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 10 Февраля 1899 г.

Przegląd Mód.

Sezon wiosenny.

Za kilka dni zaświeci Marcowe słońce, jako zwiastun zbliżającej się czarodziejki wiosny, do której stroimy się zawsze w najpiękniejsze szaty.

Pierwsze spostrzeżenia co do kierunku mody, można jak zawsze zebrać w magazynie wyrobów bławatnych p. Edmunda Makowskiego. Magazyn ten posiada zawsze najpierwszy świeże sezonowe materiały i te właśnie poniżej opisuję.

W wiosennych strojach, angielskie materiały ważną odgrywają rolę, a rodzaj tych tkanin jest tak piękny, praktyczny i dystyngowany, że stanowi prawdziwą podporę damskiej garderoby i tych materiałów wielką ilość sprowadza zawsze pan Makowski.

Do modnych w tym sezonie należą jeszcze materiały: Covercotte, draps mélanges, draps des dames, mouline, kaszmir soleil, kaszmir velouté, draps cachemire, kaszmir paskowany i mélanges.

Angielskie, skromne fasonem kostiumy, są urozmaicone naszytami ze sznurów, taśm i pasmanterii.

Jako najbardziej noszone kolory w tym sezonie możemy wyliczyć: fiołetowy w różnych odcieniach, brązowy, szaro-zielony, ponsowy i niebieski.

Oprócz powyżej wymienionych przybrań, służących do kostymów spacerowych i sukien skromniejszych, są jeszcze przesliczne przybrania do sukien strojnych, wizytowych, koncertowych, rautowych i t. p. Przeważnie służą tutaj: haft jedwabny, galony pailletés, koronki, gipiury, lekkie materye, gazy i musliny jedwabne. Przybrania te w wielkim wyborze znajdują się również u p. Makowskiego.

Okrycia tegoroczne, o ile sądzić można, zachowują kształt zbliżony do kształtu sukien. W górze wąskie, znacznie rozszerzone ku dołowi. Peleryny zaokrąglone, z przodu krótsze, przeważnie oszyte falbanami. Sukienne peleryny najczęściej są przybierane przystębnowanymi plisami, sznurami, taśmami i pasmanterią. Strojne peleryny z aksamitu, lub jedwabnych materyj, naszywają: haftami, aplikacjami, pailletami, które w połączeniu z takim przybraniem nader efektownie się przedstawiają, tworząc prawdziwie wytworną tualetę.

Dla młodych panienek żadne okrycie nie zastąpi zgrabnego wiewiętego paltocika, co najwyżej zahaftowanego, lub opatrzonego wyłogami.

Co do sukien i staników, to bluzkowa forma stopniowo zanika, w zamian więcej się robi staników obcisłych z baskinami, lub fraczkami, ze stojącym wysokim kołnierzykiem, lub dużym kołnierzem marynarskim, lub wyłogami. Przybrania do tego rodzaju staników tworzą białe zahaftowane sukno lub kaszmir, pasmanterye, aplikacje, wstawki, taśmy, zakładki, pióra, guziki ozdobne z brązu, masy perłowej, szyldkretu, dżetu i t. p. Wiele też takich staników naszywa się aksamitkami w kraty. Wracają się też szelki, robione również ze wstążek lub aksamitek i przechodzące pod paskiem aż na spódnicę. Takie staniki, opatrzone zupełnie obcisłymi rękawami, zaledwie na ramionach troszeczkę przymarszczonemi, lub zakończone epoletkami, mają bardzo wiele szyku i elegancji. Spódnice są prawie bez zmiany, bardzo obcisłe na biodrach, przybrane od boków falbanami, z przodem gładkim, lub też z dużą odcinaną falbaną, zakończoną taśmą pasmanteryjną. Na tualety wieczorowe i reunionowe, jasne sukna, kanausy i inne lekkie materye z przybraniem: z koronek, haftów i gaz, tworzą zawsze najładniejsze tualety.

Wyróżniające miejsce w dzisiejszej modzie zajmują damskie krawatki i te stosują się prawie do każdej tualety. Do bardzo skromnych kostymów noszone bywają krawatki, wiązane z kolorowych materyi, lub materyi w kratę lub kratkę. Do strojniejszych ubrań wybiera się krawatki z tiulu, koronki, aksamitu, crêpe de chine'u, gazy i t. p. długie, krótkie, duże lub małe, plisowane albo wiązane, słowem—najrozmaitszego kształtu są powszechnie używane.

Małe, jedwabne, kolorowe chusteczki, z pięknym szlakiem, lub ładnie jedwabiem haftowanym monogramem, są bardzo lubiane i noszone, lecz jedynie na ulicę do kostymów spacerowych powinny być zastosowane.

Na rękawiczkach modne są teraz szerokie wyszycia.

Buciki najmodniejsze będą z sukna, zastosowanego kolorem do koloru sukni. Obłożenie z lakierowanej francuskiej skórki podnosi bardzo efekt i elegancję takiego obuwia.

O kapeluszach, okryciach, parasolkach, a nawet i o materiałach, napiszę obszerniej w przyszłej mojej pogawędce, gdyż narazie jest to wszystko, czem mogę służyć naszym łaskawym czytelnikom.

M. Ch.

Sukienka z kaftanikiem dla dziewczynki od 6—7 lat.

Rycina Nr 10.

Sukienka ta z szaro-niebieskiego kaszmiru tworzy bardzo zgrabniutki kostiumek dla małej dziewczynki. Spódniczka oszyta wokół 10 centim. szeroką, marszczoną falbanką, opasana jest w stanie szeroką, jedwabną, szkocką szarfą, związaną z tyłu i zakończoną frendzlą. Krótki kaftaniczek, zastępujący paltocik, przybrany z przodu trzema poprzecznie przystębnowanymi pliskami, zakończonemi perłowymi guzikami, otwiera się z przodu na bluzce z kremowego taffetas. Miękki, okrągły, biały, filcowy kapelusik, przybrany białą materyą i strusimi piórkami, dopełnia eleganckiej całości.

Kostium wiosenny.

Rycina Nr 11.

Z materiału covert-coat w kolorze mchu, kostium ten składa się ze spódnicy z wysoką, w koło równą falbaną i z długiej polonezy, zapiętej z przodu na haftki, w odstępach zaś na guziczki, naszyte na krótkich, przestębnowanych pliseczkach, tworzących rodzaj szamowania. Poloneza u dolnego brzoza ma wokół przystębnowaną plisę z tegoż materiału, także same potrójne pliski zakończone dół falbany u spódnicy. Poloneza przy szyi wycięta jest podłużnie i podłożona napierśnikiem z białego kaszmiru, wycięcie okala wązki kołnierzyczek



Nr 1. Wiosenne okrycie z sukna.

10081. H. Reichel



Nr 2 i 3. Haftowana spódniczka i peleryna do czesania dla młodych osób.
(Zmniejszona forma odwrotna strona tablicy fig. I — IV).
Opis w Bluszczu Nr 7.

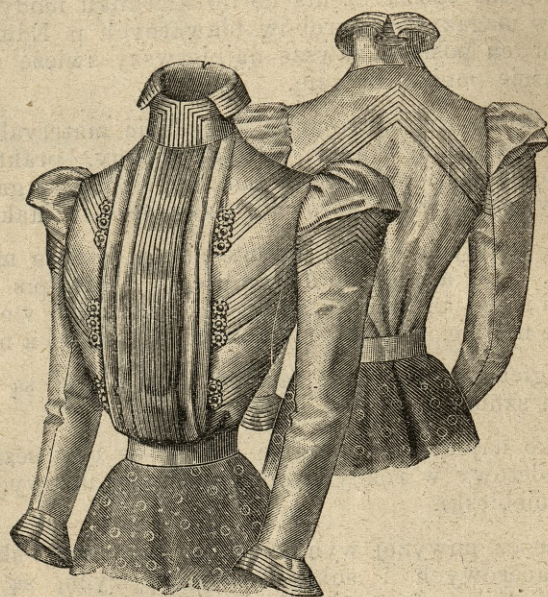


(Nr 4. Fartuszek (Marie Antoinette).
(Krój pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 62).
Opis w Bluszczu Nr 7.

Suknia z materiału wełnianego w poprzeczne prążki.

Rycina Nr 16. (Plecy odwrotna strona tablicy).

Materiał: wełna czarna matowa w czarne lśniące prążki, — przybranie: czarne dżetowe guziki i karbowana wstążeczka. Spódnica z falbaną bardzo wysoką z przodu, znacznie niższą z tyłu, tworzy ponad tą rodzaj tiuniki. Bluzkowy stanik, otwarty na marszczonym przodzie z czarnego taffetas, ułożony jest w dwie kontrafałdy, które w górze chowają się pod duży, wyłożony w kształcie pelerynki kołnierz, ten zaś przeciąga się z przodu aż do stanu i tu pod-



Nr 5. Bluzka, przybrana stebnówką i sznureczkiem, dla młodych osób.
(Opis w Bluszczu Nr 7).

z ciemno-zielonego aksamitu. Z takiegoż aksamitu mały, wykładany kołnierz, stanowi zakończenie przy szyi. Na ramionach spoczywa okrągły kołnierz, przykryty stebnowanymi pliskami i schodzący aż na rękawy. Poloneza obcisnięta jest wązkim paskiem z tegoż samego materiału, objętym stebnowanymi pliskami. Rękawy zakończone wywijane mankieci.



Nr 6 — 8. Koszula, gors i mankiety dla chłopca od 15—16 lat.
(Krój i opis odwrotna strona tablicy Nr XIV, fig. 104—113).

Suknia, przybrana frendzlą marabout.

Rycina Nr 12.

Zupełną nowością jest przybranie wązką, czarną frendzelką marabout, która silnie się odznacza na jasnym tle szafirowej wełny w wązkie, czarne prążki. Spódnica oszyta jest frendzelką pięć razy. Wokoło w znacznych odstępach, z przodu zaś oszyte tworzy rodzaj tiuniki. Staniczek, opatrzone wylogami, otwarty na białym, gazowym, marszczonym przodzie, cały w poprzek naszyty jest frendzelką. Rękawy naszyte są tak samo, jak stanik. Wyłogi i odstający kołnierz pokrywa czarny taffetas, marszczony w bułki.



Nr 9. Płaszcz dla młodej panienki.
(Krój i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 67—75).



Nr 10. Sukienka z paltocikiem dla dziewczynki od 6—7 lat.

Nr 11. Kostium wiosenny.



Tualetka, ozdobiona wypalaniem na drzewie i haftowaniem przykryciem.

Rycina Nr 23. (Deseń odwr. strona tabl. fig. 134).

Dla młodych pań ozdobna, ładna tualetka, stanowi zawsze przedmiot życzeń, dla tego podajemy tu zręczny bardzo i gustowny mebelek, ku ozdobie którego obdarzona smakiem i trochę utalentowana panienska sama ręki przyłożyć może. Prosty, gładki, dobrze wyheblowany stolik (80 cent. długi), nogi, oraz łączącą je, z przodu okrągło wyciętą deskę, pokrytą ma wypalaniem. Wypalanie tworzy desenie w stylu rokoko. Tylne brzeg stolika opatrzone jest galeryjką i dwoma toczonemi filarkami, do których przymocowane są lichterze i na których zawieszono jest lustro. Rama lustra i filarki, ozdobione są także wypalaniem. Przykrycie na stolik, z gładkiego, angielskiego płótna, powinno być dobrane do koloru obicia i mebli. Przykrycie oszyte jest szlakiem z tegoż samego materiału, wyciętym



Nr 12. Suknia, przybrana frendzlą marabout.

Nr 13. Kostium z paltocekiem, przybrany sutaszem (Krój, opis i deseń odwrotna strona tablicy Nr XII, fig. 92—98).

sunięty, jest pod fałdy. Kolnierz naszyty jest cały karbowaną wstążeczką. Fałdy przybierają dzetowe guziki, na pasek użyta jest szeroka, 5 cent. atłasowa wstążka, związana z boku na kordę.

Chusteczki do strojniejszych tualet.

Rycina Nr 20 i 21 (do ryc. Nr 19 i 25).

Batystowa chusteczka ryc. Nr 20, ozdobiona jest pięknym szlakiem z brukselskiego tiulu, pokrytym oprócz haftu śliczną aplikacją z batystu. Na batystie, mającym około 35 centim. w kwadrat, przenosi się deseń podług ryc. 19, przyszywa się batyst do ceratki i pokrywa się gęsto przyfastrygowanym tiulem. Po wykonaniu aplikacji, batyst wycina się starannie, przyczem postępować należy z wielką uwagą. Ząbki, punkty i wogóle deseń cały, wykonany jest ścięciem atłaskowym.

Chusteczka rycina Nr 21, tejże samej co poprzednia wielkości, wykonywa się w ten sam sposób, z tą tylko różnicą, że po przeniesieniu deseni i podszyciu ceratką nie pokrywa się jej tiulem, lecz haftuje wprost na batystie.



Nr 14. Ubranie dla chłopca od 15—16 lat. (Krój odwr. strona tablicy Nr X, fig. 76—84).



Nr 16. Suknia kaszmirowa z haftowanym stanikiem. (Krój pierw. strona tabl. Nr I, fig. 1—6). Opis w Bl. Nr 7.

Nr 17. Suknia z materiału w poprzeczne paski. (Pleczy odwrotna strona tablicy).

Nr 18. Suknia z taffetas w kratę. (Krój i opis pierw. strona tablicy Nr II, fig. 7—17). Opis w Bl. Nr 7.

Nr 15. Sukienka dla dziewczynek od 5—6 lat. (Opis w Bluszezu Nr 7).

w zęby, wokoło gładkim, na rogach tylko lekko namarszczonym. Na szlak ten przenosi się desen podług fig. 134 i wyszywa się go point-lace tasiemeczką, łącząc figury deseni ścieg. podłużnym, mijanym i atlas-kowym. Brzeg deseni, naszyty także tasiemeczką, obdziergany jest gęsto jedwabiem.

Przepisy gospodarskie.

STOKFISZ PO SZWEDZKU.

Wymoczonego stokfisz ugotować, następnie odcedzić i postawić pod przykryciem na blasze, aby nie ostygł. Dwa śledzie uliki drobno posiekać, dodać drobno posiekanej pietruszki, dwie małe cebulki i pół ząbka usiekanego czosnku, trochę soli pieprzu i pół funta świeżego masła; wszystko to dobrze razem wymie-



Nr 22. Krótki gorset z biusthalterem, dla młodych pań.
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XVI, fig. 124—133).

ścić, dodać kaparów i raz jeszcze wymieścić. Na półmisek porcelanowy, lub blaszany, ułożyć ugotowanego i pokrajanego w kawałki stokfisz, pokryć go przygotowanym farszem, obsypać tartą bułeczką i wstawić w piec gorący na kwadrans przed wydaniem.

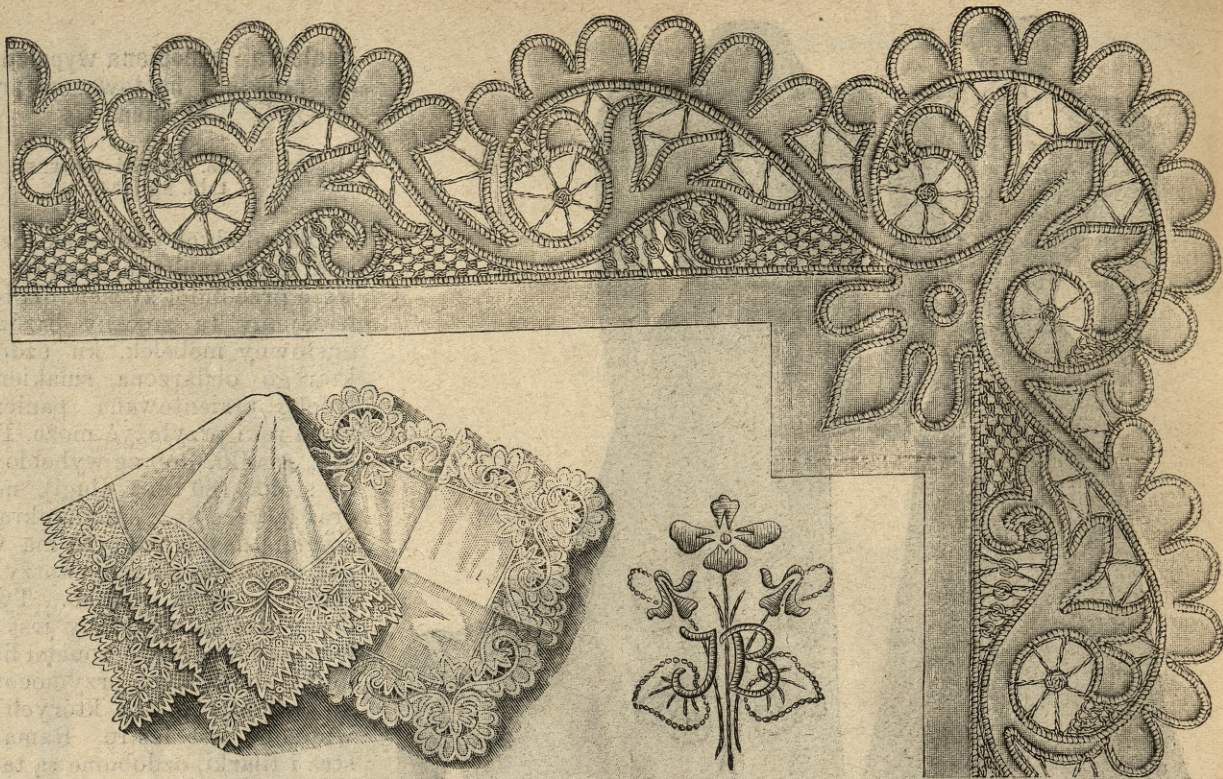
PĄCZKI POSTNE.

(doskonałe).

Sześć jeszcze nie przekrajanych sucharków obetrzeć ze skórki, umoczyć w mleku

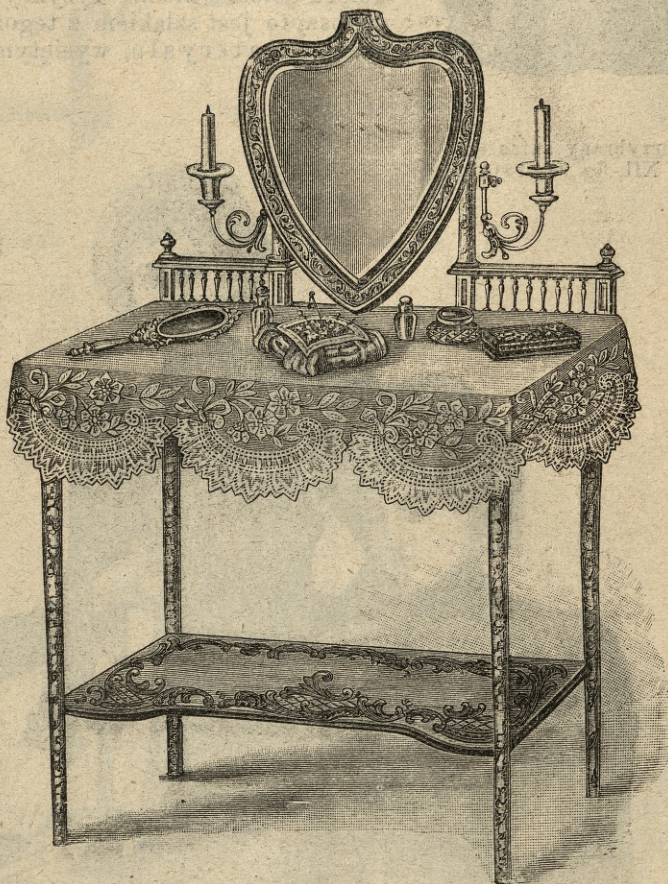


Nr 25. Narożnik do chusteczki ryciny Nr 20. Wielkość naturalna.



Nr 20 i 21. Chusteczki do strojnieszszych tualet.
(do ryc. Nr 19 i 25).

Nr 19. Narożnik do chusteczki
do ryc. Nr 21. Wielkość naturalna.



Nr 23. Tualotka, ozdobiona wypalaniem na drzewie i wyszywanem przykryciem.
(Desen odwrotna strona tablicy. fig. 134).

lub w czerwonym winie, środek wydrażyć, nałożyć konfiturami, przykryć wykrojonym ośrodkiem, umaczać w rozbitym jajku, obsypać bułeczką i smażyć na gorącym maśle jak pączki, ułożyć na półmisku, obsypać mialkim cukrem i wydać na stół.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa z drobiu.
2. Paszteciki z pieczarek.
3. Sandacz po paryzku.
4. Kalafiory.
5. Połędwica z rożna z kompotami.
6. Krem brulé.



Nr 24. Ranny kaftanik dla młodych osób.
(Krój i opis odwr. str. tablicy Nr XI, fig. 86—91).

U w a g a.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszczu.”